Nr. 16 Poznań, dnia 19 kwietnia 1903.



Pod grozą klęski.

Na odezwę centralnego komitetu wyborczego, znaną naszym czytelnikom, komitety powiatowe nie odpowiedziały dotąd czynem. Cisza zalega powiaty, jakby wybory były jeszcze w dalekiem polu. Tymczasem czas nagli, zbliża się dzień walnej rozprawy z Niemcami, którzy zeszeregowawszy się w jednę falangę, zagrażają nam utratą mandatów. Czyż ogół nasz nie jest świadom grożącego niebezpieczeństwa? Czyż z założonemi rękoma mamy spozierać na widmo klęski i przez opieszałość i apatyę oddać kilka mandatów w ręce Niemców? Czyż Niemcy posłowie mają być przedstawicielami polskich dzielnic w parlamencie?

Mamy nadzieję, że po świętach, które absorbując wszystkie warstwy ludności, paraliżowały akcyę społeczną, ożywi się, zawrze ruch wyborczy i załatamy choć w części luki tak, by wynieść z wyborów tę samą liczbę mandatów. Wszelako nikomu nie jest tajnem, że cel ten nie jest jedynym, do jakiego powinniśmy dążyć. Ważniejszą rzeczą od mandatów jest rozbudzenie umysłów żywem słowem, a nigdy nie mamy lepszej do tego sposobności jak właśnie w okresie wyborczym, gdy nie krępują nas w niczem przepisy administracyjne. Tę sposobność powinniśmy pochwycić skwapliwie i wyzyskać w interesie naszej sprawy.

Nie podobno zamknąć oczu na to, że nasza akcya przedwyborcza wogóle kuleje wskutek braku zapału i sprężystości. W artykule: 16-ty czerwca (w num. 15) wskazaliśmy już na to, że posłowie nasi w pierwszej linii powinni przyłożyć rękę do akcyi wyborczej, zamiast na modłę Jowisza olympijskiego oblókłszy się w obłok zajmować stanowisko wyczekujące. Skrupuły ich zaś prysłyby jak bańki mydlane, gdyby dała się wprowadzić w życie myśl utworzenia *biura wyborczego* z ramienia komitetu centralnego, o czem pisze pewien obywatel w „Dzien. Pozn.“ Posłuchajmy, jak rozwija on tę myśl:

„Mojem zdaniem powinien komitet centralny urządzić biuro, któreby aż do dnia wyborów co dzień kilka godzin było otwarte; w biurze tem powinno być zajętych dwóch ludzi, którzyby cały swój czas poświęcili pracy, przygotowującej wybory. Sądzę, że gdyby agitacya w całej pełni była rozwiniętą, panowie ci dostatecznie mieliby do czynienia.

Biuro winno być zaopatrzone w dokładne mapy Księstwa, statystyczne dane, dotyczące wyniku dawniejszych wyborów i naturalnie w cały materyał dokumentów i korespondencyi z lat ubiegłych komitetu.

Z każdym komitetem powiatowym trzebaby znosić się listownie i *kontrolować go ciągle*, o ile agitacya postąpiła, a mianowicie, czy i dokąd wiece zwołane zostały? czy są odpowiedni mówcy? i czy wybrani zostali mężowie zaufania którzy się zajmą przejrzeniem list wyborczych i wręczeniem karteczek?

Komitety powiatowe składają się przeważnie z ludzi, mieszkających na wsiach, zajętych chwilowo pracą w polu, nie mają oni odpowiedniej rutyny w prowadzeniu agitacyi, trzeba więc ciągle dawać im bodźca do pracy i wskazówki jak działać mają. Gdzie prezesi nie są dość czynnymi i listownie nie można się z nimi dostatecznie porozumieć, zalecałoby się powołać ich do biura i ustnie pomówić, jak agitować mają, wskazać miejscowości, w których wiece odbyć się powinny i wyznaczyć mówców.“

Myśl ta zasługuje na gorący poklask, jak wszystko co ma na celu ożywienie akcyi wyborczej, wniknięcie jak najgłębiej w koła wyborców.

Od dawna już błąka się w naszem społeczeństwie projekt utworzenia biura dla spraw społecznych

parlamentarnych. Świeżo poseł ...rzanowski na zjeździe delegatów przeprowadził projekt utworzenia centrali parlamentarnej, dawniej „Dzien. Kuj." wykazywał potrzebę założenia takiej centrali, któraby gromadziłaby i opracowywała materyał dla naszych szermierzy parlamentarnych oraz zajmowała się wszystkiemi sprawami, mającemi styczność z wyborami [1]) Swoim zwyczajem prasa poznańska przemilczała o tem, że w „Dz. Pozn." pewien poseł — jeźli się nie mylę szanowny prezes koła polskiego w sejmie — przyjął myśl tę przychylnie. Wobec tych przejawów kiełkującego czynu sądzę, że zbliża się dzień, w którym istotnie powstanie biuro centralne o mniejszym lub większym zakresie działania, bo chociaż u nas rzeczy wloką się zwykle żółwim krokiem, ostatecznie jednak robi się coś i — postępujemy.

Czy wszakże da się myśl ta wcielić w życie natychmiast, przed wyborami? Sam były poseł, poruszający tę sprawę na łamach „Dzien. Pozn." ma poważne wątpliwości, bo trzeba do tego — jak pisze dwóch ważnych czynników, to jest *pracy usilnej i pieniędzy*. Innemi słowy wszystko jest, tylko brak .... ludzi i pieniędzy! Korespondent nie wątpi, że znalazłyby się grosze na ten cel i my pokładamy tę samą nadzieję w społeczeństwie. Nie zabrakłoby też ludzi, którzy objąwszy urząd biurowych sprostaliby zadaniu, ale przedewszystkiem brak — *czasu i sprężystości*. W tem sęk.

A komitet centralny ograniczywszy się na dwóch odezwach, zajął stanowisko wyczekujące i nie zdaje się odczuwać potrzeby biura, które stanowiłoby arcypożądany, niemal konieczny łącznik z komitetami powiatowymi.

Zwracamy się przeto do niego z interpelacyą by jak najśpieszniej poddał sprawę tę rozwadze, wypowiedział swe zdanie i zadosyć uczynił bezzwłocznie naglącej potrzebie — pod grozą zarzutu opieszałości, pod grozą klęski wyborczej.

Quis.

[1]) Dowiadujemy się, że rok temu „Dzien. Kuj." zebrał nawet na ten cel M. 102, a zasięgnąwszy opinii kilku wybitnych posłów, wszędzie uzyskał jaknajlepsze przyjęcie dla swego projektu.

Redakcya.

Nasi Westfalczycy.

Prasa centrowa hurmem rzuciła się na komitet polski w Westfalii i Nadrenii za to, że wystąpił z długą litanią „żądań," którym komitet centrowy nie mógł zadośćuczynić, że Polacy nie weszli z nim w układy i, nie odczekawszy wcale odpowiedzi ogłosili swego kandydata. Nawet przychylna nam kolońska „Volksztg." pisze, że centrum nie będzie miało powodu do obrony ludzi, którzy nie ruszą palcem w interesie centrum i wtedy, gdy mają do wyboru między niem a jego nieprzyjaciołmi.

Przez usta kolońskiej naszej przyjaciółki przemawia rozgoryczenie takie, że zapomniała nawet, iż centrum — jeżeli istotnie jest katolickiem, a nie rządowem stronnictwem — bądź co bądź będzie miało *powody* do obrony Polaków-katolików dopóty dopóki rząd nie przestanie dążyć do zniszczenia nas. Gdybyśmy chcieli chwytać za słówka naszą przyjaciółkę z nad Renu i wysnuwać wnioski z tego niefortunnego odezwania się, przyszlibyśmy do przekonania, uchybiającego kolońskiej „Volksztg." Bo jeżeli centrum w mniemaniu tegoż organu nie ma teraz powodu do obrony Polaków, to widocznie broniło ich *tylko* dla zaskarbienia sobie względów naszych, pomocy i powolności przy wyborach, a *nie jako obóz katolicki-katolików*, nie z pobudek etycznych, idealniejszych. Jeźli zaś tak się rzeczy mają to musimy sobie powiedzieć, że obrona ze strony centrowców okupiona naszą samodzielnością — ubliża nam, że na pomoc centrowców liczyć nie można i nie powinniśmy, a najlepiej postąpimy, stając *silnie i bezwzględnie na własnych nogach.*

Zresztą kolońska „Volksztg." w rozgoryczeniu swem zapomina, iż Polacy przy ściślejszych wyborach postanowili popierać kandydata centrum czyli, że tam, gdzie mają do wyboru pomiędzy centrowcem a Niemcem z innego stronnictwa — wybierają pierwszego.

Pojmuję głębokie niezadowolenie prasy niemiecko-katolickiej na naszych Westfalczyków. Przyzwyczailiśmy centrum zdawna do oddawania mu usług przy wyborach, nie pytając się co odbieramy w zamian od centrum. Teraz przeto, gdy poczynamy na seryo wyzwalać się z pod pantofla centrum, nie może ono bez sarkania pogodzić się z nową sytuacyą. Powtóre przez ubytek polskich głosów we Westfalii jeden i drugi mandat centrowy będzie zachwiany. A chociaż kolońska „Volksztg." wyznaje, że wogóle pewien uszczerbek mandatów, pociesza się, że ostatecznie centrum pozostanie mimo to potężnem stronnictwem, jednakże ubiega się ono o mandaty tak systematycznie i energicznie, iż *moglibyśmy nauczyć się tego od niego.*

Nie dziwimy się zatem rozgoryczeniu centrowców na naszych Westfalczyków, natomiast dziwimy się bardzo, że niezadowolenie to tak oddziaływa a nawet niepokoi niektóre pisma polskie.

Prowadzani na pasku centrowców tak długo, dziś jeszcze bolejemy a nawet drzemy ze strachu, skoro zachmurzy się oblicze magistra z naszej przyczyny.

I tak stało się, że niektóre poważne dzienniki polskie załamując ręce, z swej strony natarły na naszych ziomków w Westfalii i odmówiły im dojrzałości politycznej.

Naszem zdaniem te organy zajęczego serca nie zrozumiały polskiego komitetu w Westfalii i nie stawiły się w położenie naszych Westfalczyków. Przemawiają bowiem w takim sensie, jakby komitet nie zdawał sobie wcale sprawy, iż komitet centrowy żądaniom jego nie może zadosyć uczynić, lecz jedynie poprzeć niektóre życzenia u władzy duchownej. Niczego podobnego nie można przypuszczać, chociażby dlatego, że w komitecie polskim zasiadają widocznie ludzie wytrawni jak to okazuje się z dobrze zredagowanej noty do centrowców, dającej jasny obraz stosunku naszego do centrum przy wyborach oraz upośledzeniu Polaków przez władze duchowne.

Nasi wychodźcy nie łudzili się z pewnością ani chwili, aby komitet centrowy chciał uwzględnić ich żądania, bo nie wchodzili w rokowania i nie czekali odpowiedzi. Składając listę *żądań* w ręce komitetu centrowego — chcieli poprostu *cisnąć Niemcom katolikom w oczy wszystkie swe żale*, na które duchowieństwo tamtejsze i władza administracyjna pozostają głuchemi od tak dawna. Zamiast, jak pragnąłby „Dzien. Berl." pójść „prostą drogą" czyli z góry stawić swego kandydata — skorzystali ze sposobności, by niejako oficyalnie, przez usta swego komitetu i to w ważnym momencie *z całym naciskiem napiętnować postępowanie* stronnictwa centrum, władzy duchownej w Westfalii i administracyi. Nie inaczej jak my zrozumiał ten akt komitet centrowy w Bochum....

Polacy w Westfalii poszli *prostą drogą, nie bawiąc się w dyplomacyę*, o co pomawia ich „Dzien. Berl." Postępowanie ich nazwalibyśmy wówczas *zaledwie dyplomatycznem*, gdyby

stawiwszy takie warunki ugody, które nie przechodziłyby kompetencyi komitetu centrowego, wdali się z nim istotnie w rokowania. Jeźli zaś „Dzien. Berl.“ koniecznie chce nazwać tę akcyę *dyplomatyczną*, to chyba — *dobrą*, bo gdy prośbami, petycyami, uprzejmem i gładkiem postępowaniem niczego wskórać nie można, dyplomacya nawet doradza przemówić podniesionym głosem i dać poznać niedwuznacznie dlaczego następuje oziembienie stosunku.

Akt komitetu polskiego jest aktem *męzkim i śmiałym*, a ponieważ tak rzadko spotykamy się z odwagą w życiu społecznem przerazili się nasi „poważni“ politycy i poczęli kiwać palcem w bucie. Wyczerpawszy wszystkie środki, Polacy w Westfalii cisnęli Niemcom katolikom rękawicę z pewnością siebie i odmachem, który zaimponuje Niemcom — chociaż pozostanie bez uznania w kołach naszych ludzi „ładu i porządku“, wiecznie skulonych we dwoje przed widmem hakaty i wszelakiej niemczyzny. Nie możemy niczego stracić na odwadze — jedynie zyskać.

Ordon.

Listy Galicyjskie.

Kraków, 9 kwietnia.

(Ś. p. książę Eustachy Sanguszko. — Z dziejów jego rodu. — Jego karyera. — Dzielność Daszyńskiego w Radzie państwa. — Sprawa teatru lwowskiego.)

Zszedł ze świata jeden z tych niewielu wielkich panów, którzy żywot swój zespolili silnie z krajem, nie lgną do cudzoziemczyzny, nie rażą cechą międzynarodowości, lecz zaznaczają swe istnienie i swe obywatelskie poczucie, działają na ojczystym zagonie w miarę swych zdolności i cieszą się zasłużonem poważaniem.

Takim był niewątpliwie ś. p. książę Eustachy Sanguszko, zmarły dnia 2-go b. m. w tyrolskiej stacyi leczniczej Griec, który lubo nie „luminarz,“ piastując najwyższe stanowiska zaskarbił sobie dość powszechne uznanie, dzięki nieskazitelności charakteru przywiązania do kraju, łagodności usposobienia i taktowi i pozostawił po sobie szczery żal, jaknajlepsze wspomnienie.

Zmarły urodził się w roku 1842 w Sławucie na Podolu z ojca Władysława i Izabeli z ks. Lubomirskich, a był najmłodszem dzieckiem z tego małżeństwa. Ojciec jego zmarły w r. 1870 był w r. 1848 posłem na Sejm konstytucyjny najpierw w Wiedniu, potem w Kromieryżu oraz posłem do Sejmu galicyjskiego w pierwszej kadencyi, która rozpoczęła się w kwietniu r. 1861. Nazwisko Władysława Sanguszki złączone jest ściśle z usiłowaniami zaprowadzenia języka polskiego jako urzędowego w kraju. Ogromne dobra po Władysławie zostały tak podzielone, że starszy syn Roman odziedziczył Sławutę, a Eustachy dobra tarnowskie.

Może nie od rzeczy nadmienić tu nawiasem, że rodzina Sanguszków-Lubartowiczów wywodzi się od książąt litewskich z rodu Giedymina. W dziejach polskich znany jest Roman Sanguszko hetman polny litewski, bojownik, który granice Rzeczypospolitej osłaniał piersiami swemi od napadów Turków i Tatarów. Później głośnym był Dymitr — z ożenienia się wbrew woli rodziny i jej samej z Halszką z Ostroga. Został on zabity w Czechach w r. 1553 przez Marcina Zborowskiego. Dzieje rodziny Sanguszków w porównaniu z historyą innych familii książęcych nie przedstawiają się zbyt świetnie, ma to wszakże tę dobrą stronę, że ponieważ Sanguszkowie nie odgrywali bardzo wybitnej roli w dziejach Rzeczypospolitej, imię ich pozostało czystem.

Ojciec zmarłego zapisał się w pamięci jako gorący patryota. W r. 1831 walczył jako oficer przeciwko Moskwie i pod Łysobykami dostał się do niewoli. Więziony przez długi czas po rozmaitych fortecach, powleczony w głąb Rosyi, zasądzony wreszcie został wyrokiem sądu wojennego w sołdaty na Kaukaz. Gdy Mikołajowi I. podano wyrok do potwierdzenia, groźny satrapa dopisał własnoręcznie na nim te słowa: „Skazany odbyć ma podróż pieszo!“

Wracając do ś. p. Eustachego nadmienię, że kończył on studya prawne w Krakowie i Wiedniu, a służbę publiczną rozpoczął w roku 1873. W tym roku został obrany posłem do Sejmu galicyjskiego i do Rady państwa. W izbie wiedeńskiej pozostał do r. 1879 to jest do chwili, gdy na mocy praw dziedzicznych wszedł do Izby panów.

Kiedy w r. 1890 marszałek Galicyi hr. Jan Tarnowski naraziwszy się sferom rządowym mową wygłoszoną podczas przeniesienia zwłok Mickiewicza na Wawel, zmuszony był złożyć laskę powołano na stanowisko marszałka ks. Eustachego Sanguszkę. Zagajając sejm krajowy ks. S. w myśl polityki hrabiego Badeniego odezwał się do Rusinów pojednawczo. Na swem stanowisku zmarły nie odznaczył się inicyatywą, ani wybitnemi zdolnościami, ale ujmował sobie ludzi uprzejmością.

Gdy w r. 1895 namiestnik hr. Kazimierz Badeni powołany został na prezesa ministrów, cesarz wezwał Sanguszkę mimo jego oporu do objęcia rządów Galicyi w roli namiestnika. Sanguszko, zwłaszcza że skromny z natury, nie czuł się na siłach, by podołać zadaniu. To też był raczej przedstawicielem władzy, a nie kierownikiem.

Wszyscy przyznają, że mimo małego uzdolnienia do rządów, jeźli mógł zrobić coś dobrego dla ogółu lub jednostki, to zrobił. Ustępując z namiestnictwa w r. 1898 żegnany był z żalem. Następnie pozostał tylko posłem do Sejmu z ziemi tarnowskiej i marszałkiem powiatu, w którym leżą rozległe dobra Gumniska, niemal stałe miejsce pobytu zmarłego. Dobra te oszczędnością i zabiegliwością doprowadził do stanu kwitnącego. Prócz tego klucza posiadał on majątek Podhorce, w powiecie Złoczowskim, niegdyś siedzibę Sobieskich.

Ś. p. Sanguszko ożenił się jako namiestnik z hrabianką Konstancyą Zamojską i pozostawił jedynaka syna Romana Władysława, który obok sędziwego ks. Romana ze Sławuty, nic posiadającego męzkich potomków, jest jedynym spadkobiercą starego rodu.

Przechodząc do innych spraw przedewszystkiem podnieść muszę skandaliczne wystąpienie socyalisty *Daszyńskiego* w Radzie państwa, które omawiają wszystkie dzienniki nie tając oburzenia. Poseł Daszyński wniósł interpelacyą w parlamencie, w której mówił:

„Niedawno umarł pod Zbarażem niejaki Kazimierz Łuczyński, który zapisał około 140 tysięcy złr. na rzecz dziennikarzy i literatów polskich. Ten p. Łuczyński miał przez lat 20 stosunek miłosny z pewną wysoko położoną damą, co głośnem było i ogólnie znanem w całym kraju. Po śmierci Łuczyńskiego zjawił się u wykonawcy testamentu starosta i w imieniu namiestnika Pinińskiego zabrał w spadku po Łuczyńskim 1000 listów ś. p. Pinińskiej, matki namiestnika i oryginalny obraz Grottgera. Równocześnie zginął gdzieś cały testament z zapisu owej sumy na literatów.“

W końcu domagał się Daszyński śledztwa w sprawie zaginięcia testamentu a w swem piśmie krakowskiem podnosi, że przyjmuje odpowiedzialność za całą treść interpelacyi i nieznа-

cznie odgraża się trzem synom hrabiny Pinińskiej.

Jeden z nich, Mieczysław poseł do Rady państwa zabrał głos w tej sprawie i zaprotestował z łzami w oczach przeciwko interpelacyi, która była „brutalnem oszczerstwem.“ Koło polskie ujęło się za hr. Pinińskim i wystosowało do prezesa Izby skrypt, w którym protestuje przeciwko obeldze zmarłej, szanowanej osoby, wyraża oburzenie z powodu interpelacyi Daszyńskiego tembardziej, że obowiązkiem prezydenta jest badać wniesione interpelacye.

Że postępowanie posła Daszyńskiego zasługuje na energiczne napiętnowanie i jest wprost niegodnem człowieka mieniącego się „przedstawicielem ludu“ — nie ulega wątpliwości. Nie wiem, czemu się więcej dziwić, czy bezprzykładnej łatwowierności Daszyńskiego, czy jego plotkarskiej żyłce, czy „dzielności, z jaką wdziera się w stosunki prywatne, kala cześć zmarłej kobiety i wywleka tę sprawę przed forum parlamentu. Czy poseł Daszyński nie ma lepszego materyału do przedłożenia parlamentowi? Szalona ambicya każe mu się ubiegać za sensacyą, za publicznym skandalem jakim bądź kosztem, przez co zaiste nie robi propagandy na rzecz socyalizmu. Przeciwnie, pognębiając się moralnie w oczach ogółu, odstręcza zarazem od swych doktryn. Tężyzna jego imponować może jedynie w jego własnem, dobranem kółku adoracyi wodza.

Z niemałem zadowoleniem przyjęliśmy tu wiadomość, że rada miasta Lwowa po długich debatach i sporach, poprzedzonych przez szerokie rozwałkowanie sprawy, postanowiła powierzyć nadal dyrekcyą teatru miejskiego panu T. Pawlikowskiemu. Pracował on z wielką korzyścią dla sztuki, ale — zalegał z czynszem. Okazało się wszakże, że Lwów budując nowy teatr zawiódł się w swojej rachubie na zyski. Teraz panPawlikowski obejmuje teatr na dalsze 3 lata na nowych sprawiedliwych podstawach. Wynik tej sprawy w radzie przyjęły galerye hucznymi oklaskami, z którymi łączą się wszyscy miłośnicy sztuki.

Galicyanin.

Z TYGODNIA.

Widmo słynnej sprawy Dreyfusa spojrzało znowu w oczy Francyi. Poseł socyalistyczny Jaures wytoczył ją przed izbę deputowanych domagając się ponownej rewizyi głośnego procesu, który przez kilkanaście miesięcy mącił spokój we Francyi i trzymał w napięciu Europę. Czytelnicy przypominają sobie losy oficera artyleryi francuzkiej Dreyfusa, który oskarżony o zdradę stanu, a mianowicie o sprzedawanie tajnych dokumentów wojskowych obcym państwom, a w szczególności Niemcom, został uznany winnym, wykluczonym z armii i uwięzionym na wyspie Djabelskiej, opodal wybrzeża Ameryki. Atoli w kilkanaście miesięcy potem wyszły na jaw poszlaki przemawiające za niewinnością skazańca, proces wznowiono i ostatecznie Dreyfus przed trybunałem wojskowym w Rennes został uznany — niewinnym. Już wówczas wszystkim śledzącym przebieg tej sprawy było jasnem, że tylko na mocy *sfałszowanych* dokumentów dało się wykazać rzekomą winę oficera. Jeden z nikczemnych fałszerzów pułkownik Henry został w toku sprawy osadzony w więzieniu śledczym, gdzie odebrał sobie życie. On to sporządził dokument z rzekomym własnoręcznym dopiskiem *cesarza Wilhelma.* Drugi oficer nazwiskiem Esterhazy wczas opuścił Francyę, by ujść kary aż nadto zasłużonej. Skazanie Dreyfusa było jedną z największych i najgłośniejszych zbrodni zeszłego stulecia.

Obecnie poseł Jaures wydobył tę sprawę z zapomnienia, lecz nie porobił nowych odkryć; dowiódł tylko tem jaśniej fałszerstwa dokumentów, na mocy których skazano nieszczęsnego oficera. Odczytał list jenerała Pellieux, w którym tenże donosił ministrowi wojny, że podaje się do dymisyi „ponieważ nie ma zaufania do szefów, którzy kazali fałszować dokumenty.“ Mimo to ówczesny minister udawał jakoby nic nie wiedział o fałszerstwach i o niczem nie zawiadomił szefa gabinetu. Ówczesny minister Cavaignac i nacyonaliści skompromitowali się w oczach wszystkich. Okazało się też, że jeden z sędziów i wrogów Dreyfusa jen. Mercier posługując się zgrabnie sfałszowanym listem cesarza niemieckiego, przyczynił się głównie do sukcesu nacyonalistów w procesie Dreyfusa.

Minister wojny Andre przyrzekł w odpowiedzi na interpelacyą p. Jaures zbadać sprawę listu gen. Pellieux. W końcu długich i ożywionych debat izba wyraziła rządowi zaufanie i orzekła, że Dreyfusa powinna pozostawić w granicach sądowych. Wynik ostateczny obrad jest niejasnym: jedno jest pewnem, że Francya nie ma bynajmniej ochoty wznawiać tej sprawy, która napsuła tyle krwi, tem więcej, że socyaliście chodzi głównie o oświetlenie raz jeszcze dawnych nadużyć w kołach wojskowych i przez to zniechęcić lud do militaryzmu, zmniejszyć wpływy armii. Jaures'owi zależało na wbiciu klina między armię a republikę.

W Holandyi wybuchł strejk robotników kolejowych, który przybrał ogromne rozmiary a nawet cechy zamachu stanu. Strejkującym udało się zatamować ruch kolejowy na wielu liniach i rozciągnąć bezrobocie na innych robotników. W Amsterdamie przyszło do starcia pomiędzy strejkującymi a policyą, lecz obyło się bez przelewu krwi. Wogóle bezrobocie ma cichy charakter, lecz mimo to wojsko czuwa nad porządkiem. Powoli też pewne grupy robotników powracają do pracy.

Na posiedzeniu izby w Hadze minister sprawiedliwości wywodził, że projekt reformy prawa strejkowego nigdy nie był tak potrzebnym jak właśnie teraz. Z inicyatywy królowej Wilhelminy ustanowiono osobne biuro państwowe w celu badania skarg i żądań robotników strejkujących. Na uspokojnie umysłów wpłynął poniekąd powrót królowej do stolicy, gdzie ludność witała ją z wielkim zapałem. Ostatecznie socyaliści uznali się za pokonanych.

Ale nie tylko z Holandyi nadchodzą wiadomości o strejkach. Podobne bezrobocie robotników kolejowych wybuchło w *Budapeszcie.* Nadto w *Rzymie* ogłosili robotnicy powszechny strejk, który jednak ma przebieg całkiem spokojny. Polityczny charakter miały krwawe demonstracye pomocników handlowych w *Białogrodzie,* którym władze policyjne kazały nosić przy sobie książki służbowe tak jak służbie. Na ulicach stolicy serbskiej tłum stoczył istną bitwę z żandarmeryą i konnicą, przyczem demonstranci wznosili okrzyki: niech żyje konstytucya, precz z rewizyą!

Król serbski bowiem zniósł konstytucyą, ogłoszoną w r. 1901, ażeby usunąć senatorów i rozwiązać skupczynę. Atoli ogłosił drugą proklamacyą, przywracającą konstytucyę i zarazem zamianował nowych senatorów. Taka komedya jest jedynie możliwa w Serbii, która znosi, zmienia i zawiesza konstytucyę z niebywałą łatwością, z czego widać, iż nie dojrzała do konstytucyjnych rządów. W państwach dojrzałych politycznie konstytucya przechodzi w krew ogółu tak, iż nie da się nic w niej naruszyć bez walki w parlamencie. Takie lekceważenie konstytucyi, jakiego dopuścił się król Aleksander, musi mieć zgubny wpływ

na kraj, naruszając podstawy państwowe.

W Macedonii ruchu rewolucyjnego nic już nie powstrzyma; wszystko wskazuje na to, że rozwija się on w powstanie. Konsul Szczerbina, jak wiadomo, ciężko raniony — umarł a Rosya upomniała się u rządu tureckiego o surowsze ukaranie winowajcy, Ibrahima.

Wszyscy, którzy oddawali się nadziei, że słynny *manifest carski* jest zwiastunem nowej ery w Rosyi, doznali wielkiego rozczarowania, gdy do komisyi obradującej nad reformami powołano całe grono dygnitarzy osławionych z kraju jako wsteczników o brutalnym zakroju, między innymi p. p. Wahla, gubernatora, znanego zwolennika knuta i Klingenberga, sprawcę krwawych zajść w Krożach.

Rozruchy w *Madrycie* nie ustają! przeciwnie inne miasta poszły za przykładem stolicy tak, iż strejki, burdy i starcia z policyą są na porządku dziennym. Na dnie fermentu tkwi — nędza, panująca na ziemi hiszpańskiej, i — republikanizm. Odbyło się kilka wielkich zebrań republikanów, na których powzięto uchwałę, by złączyć się w jedno stronnictwo pod wodzą Salmerona.

Król Edward, odwiedziwszy Gibraltar, odpłynął do Malty, tymczasem prezydent Loubet rozpoczął swą podróż do Algieru. Po powrocie jego król Edward złoży mu wizytę w Paryzu, gdzie zpewnością dozna świetnego przyjęcia. Gazety paryzkie z niekłamaną radością rozpisują się o jego przybyciu, podnosząc, że był on niejako honorowym obywatelem Paryża. A politycy wróżą, że wskutek jej podróży oziębi się stosunek Francyi do Rosyi a nastąpi zbliżenie się Francyi do W. Brytanii.

W prasie niemieckiej echa podróży cesarza *Wilhelma* do Danii nie przebrzmiały jeszcze. W czasie swej wizyty, cesarz zaprosił do Berlina między innymi członkami rodziny duńskiej księżnę Waldemarową z rodu Orleanów, lecz wystawił się na odmowną odpowiedź, gdyż księżna wymówiła się wyjazdem do ojca. Z kilku stron zapewniono, że cesarz miał rzec na to księżnej: „zobaczymy się w Paryżu.“ Lecz trudno dać temu wiarę, chociaż tyle razy obiegały już pogłoski o podróżach cesarza do Parya, iż przypuszczać można, że istotnie ęci go stolica francuzka.

X. Y. Z.

Przegląd prasy.

Polacy w Westalii i Nadrenii — jak wiadomo — przedłożyli komitetowi centrowemu w Bochum warunki, pod jakimi byli by gotowi głosować przy wyborach do parlamentu na kandydata Niemców katolików, jednakże nie odczekali odpowiedzi, lecz ogłosili pana I. Chociszewskiego swym kandydatem we wszystkich obwodach. Centrowcy skorzystali z tego pospiechu, by nie dać żadnej odpowiedzi i poskarżyć się na Polaków w swych organach.

Postępowanie Polaków nazywa *„Dzien. Berl.“* „niefortunną dyplomacyą,“ pisząc:

„Zamiast *zasadniczo* wystąpić z kandydaturą polską z wyraźnym celem pogłębienia agitacyi narodowej wśród szerokich uśpionych mas naszych rodaków na obczyźnie, podobało się im zabawić w dyplomacyą, która oczywiście chybiła i wywołała niepotrzebne rozgoryczenie nawet w obozie Niemców-katolików kierunku posłów Roerena i Bachema.

„Trzeba było centrum wyraźnie i otwarcie powiedzieć, że celem pogłębienia poczucia narodowego wśród mas ludu polskiego, zagrożonego zalewem niemczyzny, musimy koniecznie w pierwszym pochodzie wyborczym głosować na rodaka. Takie stanowisko musieliby centrowcy zrozumieć i uszanować. Zamiast tego podyktowano mu warunki, których ono przyjąć nie mogło.

„Komitet główny“ niestety nie poszedł prostą drogą, w dziwnem zapoznaniu stosunków realnych sądził, że za pomoc Polaków w dwóch lub trzech okręgach w Westfalii i Nadrenii zdoła nie tylko uzyskać zupełne, oczywiście bardzo pożądane, równouprawnienie rodaków tamtejszych w kościele, ale że zdoła wyrugować centrum z Górnego Ślązka, Księstwa, Prus Zach., z Prus Wschodnich a nawet z wschodniego Pomorza.“

Podobnie przemawia *„Postęp:“*

„Dawniej skarżono się jeszcze w Nadrenii i Westfalii, że centrum nie uznaje żadnego głównego komitetu wyborczego polskiego, lecz widać, że uznało i wchodziło w porozumienie, więc nie trzeba było tak lekceważąco sobie postępować. Widocznie leżał w całej tej sprawie jakiś cel ukryty, a mające nastąpić porozumienie uważano całkiem za zbyteczne.

„Centrum w tych stronach jest poważnym czynnikiem, więc nie należało się z niem tak obchodzić, jak sobie postąpiono. Sprawę wyborów trzeba było gruntownie omówić i swe warunki więcej politycznego i narodowego charakteru postawić, a w sprawach kościelnych tylko życzenia objawiać.“

Niemal każdy tydzień przynosi wiadomość o rozwiązaniu zebrania polskiego *w Westfalii,* a szczególnie w powiecie bochumskim, gdzie landrat Gerstein wydał policyi rozkaz zamykania wszystkich wieców, na których obrady toczą się po polsku. I tak znowu rozwiązała policya wiec w *Herne,* jednej z najliczniejszych osad polskich, liczącej 6000 dusz. Swywolne rozwiązanie zebrania wywołało wielkie wzburzenie pomiędzy wiecownikami, tem więcej, że *sprzeciwia się prawu.*

„Trybunał administracyjny—pisze „Dz. Berl.“ —jakoby w odpowiedzi na liczne w ostatnim czasie przypadki samowoli policyjnej wydał wyrok tak *stanowczo* orzekający, iż *nie* wolno rozwięzywać zebrań Polaków dla używania na nich języka polskiego — bo die Staatssprache obowiązuje tylko urzędników a nie *obywateli* państwa — że należało przypuszczać, iż odtąd już policya przestanie szykanować polskie zebrania.

„Czas tej samowoli kres położyć! Posłowie nasi muszą koniecznie w tej sprawie wnieść *energiczną* interpelacyą i zapytać hr. Bülowa jako kanclerza rzeszy, czy myśli nadal znosić takie stosunki w Prusach, czy myśli postarać się o należyte respektowanie prawa o zebraniach i wyroków najwyższego sądu administracyjnego.

„Istniejące w rzeszy prawo o zebraniach nie ma *wobec Polaków* dotąd należytego znaczenia, gdyż policya robi, co się jej podoba.

„Prusy są podobno państwem *prawa!*“

W Prusach Zachodnich kandydatura pana Kulerskiego, która wyrosła do programowego znaczenia, zajmuje prasę naszą żywo. *„Postęp“* poświęcając długi artykuł tej sprawie, wypowiada zdanie, że w Prusach Zachodnich walczą „przeciwko p. Kulerskiemu tą samą bronią, co pięć lat temu wojowano przeciwko ruchowi ludowemu i jego przywódzcom.“ *„Postęp“* dziwi się,

„jak ks. Kujot mógł się poniżyć do takich niefortunnych i potępienia godnych wystąpień. Najmniej kapłanowi katolickiemu i polskiemu z tem do twarzy.“

Następnie zaś pisze:

„Najgorszem, że dwie gazety („Pielgrzym“ i „Gaz. Gd.“) występując przeciwko p. Kulerskiemu w tak wstrętny sposób, zasłaniają się wiarą katolicką, kapłanami itd. Znów to *pomięszanie pojęć* religijnych z świeckiemi, politycznemi. Tą samą taktyką postępowano u nas przed pięciu laty. Wówczas też odsądzono ruch ludowy od czci i wiary, który występuje przeciwko [illegible] rze i moralności. Skryto się zup[illegible] za parawan kościelny i z niego st[illegible] lano do ruchu ludowego jako do bezbożników największych.

„Kubek w kubek ta sama historyjka nawet pewien mówca na zebraniu wyborczem broniąc rzekomo księży, przy

toczył słowa Pisma św.: „Kto wami gardzi, mną gardzi.“ I takie rzeczy prawi się ludowi na zebraniach wyborczych, świeckich, *nie występujących w niczem przeciw katolickiej wierze. Jest to wprost demoralizacyą polityczną, chcącą utrzymać bezkrytyczne masy wyborcze w głupocie politycznej. Na to już nie ma słów oburzenia.*

„Jakkolwiek od dawna aż do teraz nie byliśmy przyjaciółmi p. Kulerskiego z różnych powodów, to jednakże wobec tych wstrętnych napaści przychodzimy do przekonania, że ludzi narażonych na podobne obelgi należy brać w obronę. Takie plugastwa miotane na osoby sobie nieprzyjemne, zwykle odnoszą dla przeciwników nie pożądany skutek.

„W ruchu wyborczym w Prusach Zachodnich upatrujemy *chwilę przełomu pomiędzy przychodzącym do świadomości politycznej ludem,* chcącym stać w obronie swych praw narodowych, zarazem im przewodzić, a niedobitkami polityki szlacheckiej, która dotąd jedyna rości sobie pretensye do przewodzenia narodowi. Kulerski jest tą osobą, która ten przełom wywołała. W dziejach świata zawsze w takich chwilach przełomowych pojedyńcze jednostki były osią, około której bieg wypadków się toczył!“

Na Śląsku zaszedł fakt, który wykazuje jak *„Katolik“* uwikłał się i w jak niemiłem i niejasnem znajduje się położeniu. Gdy centrum postawiło na kandydata w Gliwicach hr. *Ballestrema,* znanego polakożercę wbrew życzeniom rozgoryczonego ludu polskiego, *„Katolik“* musiał zaznaczyć swe stanowisko wobec tej kandydatury. Nie mógł go chyba popierać, z drugiej strony nie chce popierać kandydatury pana red. Siemianowskiego dlatego, że jest przeciwko Centrum i że pragnie wstąpić do Koła polskiego. Cóż tedy pozostała mu za droga?

Gdyby postawił własnego kandydata, Centrum zarówno jak Tow. wyborcze wystąpiłoby przeciw niemu, a o przeprowadzeniu swego stronnika nie mógł marzyć. Redaktor *„Katolika“* przeto oświadczył na zebraniu centrowców w Wrocławiu, że *„hr. Ballestrema nie może i nie będzie popierał,“* zajął stanowisko bezstronne, pozostawiając swych stronników w Gliwicach bez dyrektywy.

„Co przeto „Katolik“ uczyni? — czytamy w bytomskim organie — nie będzie popierał ani p. hr. Ballestrema, ani p. Siemianowskiego, pierwszego dlatego, ponieważ mu się osoba kandydata nie podoba, drugiego dlatego, ponieważ z jego partyjno-politycznem stanowiskiem się nie zgadza. Wyborcy sami niech roztrzygną i oddadzą głosy podług swego przekonania.“

„Katolik“ znalazł się w takiej matni, że — wypuścił cugle z ręki, niejako zrzekając się swego wpływu w tym okręgu na rzecz pana Siemianowskiego, który, mamy nadzieję, *zwycięży przy wyborach osławionego Ballestrema.*

„Górnoślązak“ pisze o biernem zachowaniu się „Katolika:“

„To jest za mało. Jeśli „Katolik“ jest pismem polskiem, lub jeśli chce być takowem w przyszłości, to Ballestrema *musi zwalczać.* „Katolik“ zajmując stanowisko bierne wobec Ballestrema, nie czyniąc nic przeciwko niemu w rzeczywistości popiera go pośrednio (?) choćby już przez ten sam fakt, że jako pismo centrowe ogłosił swym czytelnikom spis kandydatów zatwiedzonych na zebraniu wrocławskiem. Dla „Katolika“ nie ma wyboru w tym wypadku. Chcąc być pismem polskiem, musi zwalczać Ballestrema i polecać kandydaturę p. Siemianowskiego.“

W tym samym duchu przemawia *„Wielkopolanin:“*

„W okręgu gliwicko-lublinieckim postawiło Tow. wyborcze na Górny Śląsk Polaka, pana Siemianowskiego, centrowcy Niemca p. hr. Ballestrema. Nie może wobec tego wcale być dwóch zdań, jakie stanowisko „Katolik“ powinien zająć, mianowicie, że centrowcy najzupełniej nie liczą się z życzeniami i zdaniem „Katolika.“ „Katolik“ powinien w tym okręgu poprzeć kandydata Polaka.

„Niezmiernie przygnębiające wrażenie czynią lisie wykręty i tłómaczenia „Katolika,“ dla których nie chce poprzeć kandydatury polskiej.

„Panie Napieralski! To upadek, głęboki upadek!“

Ogólną sytuacyą na *Śląsku* charakteryzuje *„Orędownik“* jako możliwie najgorszą, tak pisząc:

„Pierwsza akcya odrodzenia narodowego ludu polskiego na G. Śląsku zaznacza się zupełnem rozbiciem się tego ludu na dwa obozy, oraz koncentrowaniem się wszystkich partyi niemieckich razem z centrowcami przeciw kandydatom przez polskie Towarzystwo Wyborcze.

„Chwilowo przepadła wszelka nadzieja, aby oba walczące na G. Śląsku obozy doprowadzić do jakiego takiego porozumienia. Wszelkie warunki na to zostały w dotychczasowej walce zniszczone. Pozostało jedno tylko: czas, cały miesiąc czasu.

„To jedyny błysk nadziei, że w tym miesiącu mogłoby jeszcze niespodziewanie zajść coś takiego, o co możnaby zahaczyć porozumienie.“

A u nas? Cicho; tylko trzy wiece zwiastują gazety w Księstwie do chwili, w której oddajemy Przegląd pod prasę.

Na dzień 19-go b. m. zwołano *wiec do Środy,* zkąd posłuje poseł I. Głębocki. *„Orędownik“* podejrzewa, że stronnicy „Kuryera Pozn.“ — który wraz z jednym korespondentem „Dziennika“ zwrócił swe ostrze przeciw posłowi Głębockiemu, — a mianowicie

„pewne grono większych posiedzicieli ziemskich myśli o tem, ażeby dotychczasowego posła p. Głębockiego usunąć od kandydatury, a w jego miejsce postawić ks. prał. dr. Jażdżewskiego, ponieważ — jest proboszczem w Środzie.

„Usunięcie posła Głębockiego z okręgu śremsko-średzkiego znaczyłoby tyle, co łamanie ruchu ludowego, budzącego szerokie warstwy ludowe do obowiązków obywatelskich, i rugowanie posła zasad demokratycznych.“

Poczytujemy tę wiadomość, na które „Orędownik“ nieraz łowi, za plotkę pozbawioną poważnej podstawy, bo niepodobno przypuścić, by stronnicy „Kuryera“ mieli tak zuchwale wyzywać na rękę ludowców i wszystkich zwolenników posła Głębockiego i — narażać się na sromotną klęskę. Wszelako zwracamy na tę wieść uwagę, bo jak powiadają, na ostrożności jeszcze nikt nie stracił.

Na dzień 22-go b. m. zwołano *wiec w Lesznie* na okręg wschowsko-leszczyński, który zastępował w parlamencie centrowiec ks. dziekan *Tasch,* obrany z pomocą Polaków na mocy kompromisu pod warunkiem, że w następnych wyborach Niemcy katolicy oddadzą swe głosy na kandydata polskiego.

Prasa hakatystyczna nawołuje Niemców katolików, aby nie głosowali za Polakiem i wątpić nie można, że część ich pójdzie za głosem hakaty. Ks. Tasch zrzekł się kandydatury, by nie dawać powodu do waśni. Cóż mają uczynić polscy wyborcy?

W *„Dzien. Pozn.“* odpowiada na to korespondent z Leszna w tych słowach:

„Z największą chęcią postawilibyśmy u nas kandydata Polaka do parlamentu, gdybyśmy mieli nadzieję przeprowadzenia go. Niestety każdy położenie tutejsze znający wie dobrze, że z Polakiem z pewnością przepadniemy, podczas kiedy z ks. Taschem mamy jakąś pewną nadzieję zwycięstwa. Na ks. Tascha bowiem połączą się wszystkie szczero-katolickie głosy tak niemieckie jak i polskie.“

Mówiąc prosto z mostu korespondent doradza, aby Polacy nie stawiali własnego kandydata, lecz zapominając o kompromisie głosowali na ks. Tascha. Byłaby to nauczka, żeby nie wdawać się w kompromisy nawet z centrowcami. Ale zobaczymy jaką drogę zaleci wiec w Lesznie.

Zważywszy, że centrum coraz więcej lgnie do rządu, a amtskatolicy do hakatystów, *„Goniec Wielkopolski“* pisze:

„Precz więc z ugodami, z kompromisami, bo one wychodzą na haniebny wyzysk i zagrażają naszemu bytowi narodowemu. Na kresach zwłaszcza nie ulegajmy, gdyż nas ściskać poczną

coraz więcej pierścieniem, aż nas w uścisku uduszą. Lepiej dla nas, iż na kresach zwycięży otwarty wróg, niż wróg przychodzący do nas jako wilk w owczej skórze.

„Walkę narzucają nam, więc ją podejmujemy, walka nas zahartuje, — podczas gdy kłamane kompromisy demoralizują nasz lud w groźny sposób!"

W powiecie wyrzyskim, a mianowicie w *Nakle* odbędzie się wiec dnia 19-go b. m.

Niezawodnie posłyszymy niebawem zapowiedzi innych wieców. Bardzo ważną rzeczą jest przy tem, aby komitety urządzające informowały okolicznych wyborców o mającem się odbyć zebraniu, a nie polegały wyłącznie na gazetach. Nieraz wskutek niedbałości nie wielu tylko przybywa uczestników na zebrania. Pamiętajmy, że okręg przedwyborczy to czas posiewu myśli obywatelskich!

B. M.

Nowy regulamin wyborczy

dla komitetów powiatowych Wielkiego Księztwa Poznańskiego.

Artykuł pierwszy.

Komitet prowincyalny.

§ 1. Komitet prowincyalny wyborczy, składający się z 9 członków, z których przynajmniej 3 stale zamieszkiwać winno w Poznaniu, wybierany bywa przez walne zebranie delegatów na pięć lat w miesiącu styczniu.

Gdyby komitet prowincyalny czuł się spowodowanym do złożenia urzędu przed upływem 5 lat, winien zwołać walne zebranie delegatów celem wyboru nowego komitetu.

W razie zawakowania urzędu członka komitetu wolno jest komitetowi zwołać walne zebranie delegatów celem nowego wyboru. W razie jednak pozostania w komitecie z 9 tylko 6 członków, komitet zobowiązany jest zwołać walne zebranie delegatów celem uzupełnienia komitetu.

Kooptacya jest wykluczoną.

Do ważności uchwał potrzebną jest obecność 5 członków; uchwały zapadają absolutną większością głosów; w razie równości głosów rozstrzyga głos przewodniczącego.

§ 2. Komitet prowincyalny wyborczy wybiera z grona swego:

a) przewodniczącego i jego zastępcę,
b) sekretarza i zastępcę.
c) podskarbiego.

§ 3. Komitet prowincyalny wypełnia następujące czynności:

1) Kieruje jako najwyższa władza wyborami posłów do Kół polskich w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim przy pomocy walnych zebrań powiatowych i komitetów powiatowych, które poleceniom i wskazówkom, regulaminem objętym, podlegają.

2) Kontroluje czynności komitetów powiatowych i na żądanie jest im pomocnym przy przeprowadzeniu wszystkich innych wyborów.

3) *Utworzy w miarę funduszów, przez powiaty składanych, biuro informacyjne, złożone z jednej lub więcej osób, które będzie zbierało na prawdzie polegające materyały dla użytku członków Kół poselskich i innych reprezentacyi naszych, oraz dawało objaśnienia i rady w wypadkach pogwałcenia przepisów prawnych.*

Z powiatami znosi się Komitet prowincyalny za pośrednictwem prezesów komitetów powiatowych.

§ 4. Zebrania Komitetu prowincyalnego zwołuje przewodniczący, ilekroć tego uzna potrzebę, lub ilekroć zażąda tego przynajmniej 3 członków Komitetu prowincyalnego, w ciągu dwóch tygodni.

§ 5. Komitet prowincyalny rozpoczyna prace wyborcze przy zbliżających się wyborach do ciał prawodowczych, wzywając komitety powiatowe do agitacyi wyborczej, a mianowicie do zwołania walnych zebrań powiatowych. Również i w innym czasie i w innych przypadkach ma Komitet prowincyalny prawo rozpisać walne zebrania wyborcze powiatowe.

§ 6. Komitetom powiatowym, któreby agitacyi wyborczej zaniedbywały, ma Komitet prowincyalny prawo i obowiązek, powinność tę przypominać, a w razie potrzeby spieszyć z pomocą moralną i materyalną z funduszów swoich.

Gdyby jakikolwiek komitet powiatowy, mimo zawezwania i przypomnienia nie ogłosił walnego zebrania, najmniej trzy tygodnie przed walnem zebraniem delegatów, a nie odbył 10 dni przed zebraniem delegatów, w takim razie służy prawo Komitetowi prowincyalnemu zwołać odnośne walne zebranie wyborcze i celem odbycia takowego i przewodniczenia, delegować z grona swego członka komitetu.

§ 7. Po dokonaniu przedwstępnych czynności wyborczych po powiatach, zwołuje Komitet prowincyalny do Poznania walne zebranie delegatów powiatowych, przygotowuje porządek obrad, kieruje niemi i bierze czynny udział w głosowaniu, z wyjątkiem przy balotowaniu kandydatów poselskich i wyborze członków Komitetu prowincyalnego.

Walne zebranie delegatów może Komitet prowincyalny zwoływać zawsze ile razy tego zachodzi potrzeba, — a ma obowiązek zwołać je, w przeciągu 3 tygodni, skoro tego przynajmniej 10 delegatów powiatowych piśmiennie zażąda.

§ 8. Jeśli na okręg niepewny nie wyznaczono na walnem zebraniu delegatów kandydata na krzesło poselskie, uchwaliwszy dla odnośnego okręgu możność zawarcia kompromisu, to kandydaci kompromisowi winni być Komitetowi prowincyalnemu przez delegatów odnośnych okręgów przedstawieni do zatwierdzenia. Prawo to swoje może Komitet prowincyalny przelać na osobę Komitetom powiatowym osobnem pismem wyraźnie oznaczoną.

§ 9. W razie zawakowania krzesła poselskiego podczas okresu prawodawczego wzywa Komitet prowincyalny Komitety powiatowe odnośnego okręgu wyborczego do zwołania walnego zebrania wyborczego celem postawienia kandydatów. Wyboru ich ostatecznego dokonywają delegaci odnośnego okręgu wyborczego wspólnie z Komitetem prowincyalnym.

§ 10. Komitet prowincyalny ogłasza urzędownie w pismach publicznych nazwiska kandydatów do krzeseł poselskich w poszczególnych kręgach wyborczych, wydaje odezwy wyborcze, dostarcza Komitetom powiatowym na ich żądanie i na ich koszt karteczek wyborczych, czuwa nad tem, aby przepisy regulaminu wyborczego, ściśle były wykonane i w tym celu przesyła komitetom powiatowym instrukcye, do których się powiaty ściśle zastósować winny.

§ 11. Komitet prowincyalny wzywa po dokonanych wyborach Komitety powiatowe, by bezwłocznie wszelkie skargi i zażalenia, tyczące się przekroczeń ustawy wyborczej, przesłały do biura komitetu prowincyalnego.

§ 12. Z funduszów swoich, wpływających bądź to z poszczególnych Komitetów powiatowych (wedle normy ustanowionej przez walne zebranie delegatów) bądź to z innych źródeł na ręce podskarbiego, zdaje Komitet prowincyalny sprawę co pięć lat na walnem zebraniu delegatów, które po sprawdzeniu rachunków przez komisyę rewizyjną z 3 delegatów złożoną, udzieli podskarbiemu pokwitowania.

Kto ma prawo wybierać posłów do parlamentu?

Wolno głosować *każdemu obywatelowi* rzeszy niemieckiej, *który do dnia 16 czerwca już ukończył lat 25.*

W każdej gminie muszą wyłożyć spis wyborców, aby każdy się mógł przekonać, czy jego nazwisko jest zapisane.

Gminy większe i miasta dzielą się zazwyczaj na kilka okręgów. Każdy oddaje głos swój tam, gdzie jego nazwisko jest zapisane.

Niechaj każdy po wyłożeniu spisów idzie się przekonać, czy jego nazwisko jest tam zapisane. Czyje nazwisko nie jest zapisane, ten nie może wybierać. Należy się także przekonać, czy nazwisko wyborcy jest *poprawnie* w liście zapisane.

Spisy są wyłożone najmniej przez tydzień. Jeśli kto nie jest zapisany, niechaj *natychmiast żąda,* aby jego nazwisko wpisano.

Wybierać *nie* wolno następującym osobom:

1) Żołnierzom, odbywającym służbę wojskową, czy to w armii lądowej, czy też przy marynarce.

2) Osobom, które są pod opieką innych, czyli pod kuratelą, bądź z przyczyny chorób umysłowych, rozrzutności, pijaństwa i t. d., słowem osobom takim, którym nie wolno rozporządzać według swej woli majątkiem swoim.

3) Osobom, które pobierają zapomogę z funduszów publicznych lub gminnych (gminni biedacy, którzy pobierają tak zwany Armenunterstützung.)

Zaznaczyć wypada, że nie zalicza się do tej kategoryi tych, co n. p. posyłają dzieci do takich szkół, a uwolniono ich od zapłaty za naukę, lub co dostają darmo książki dla dzieci chodzących do szkoły, lub co nie zapłacili podatków, lub co otrzymali zapomogę w nadzwyczajnych razach, n. p. wskutek pożaru, powodzi lub nieurodzaju.

4) Osobom, które znajdują się w konkursie w czasie wyborów.

5) Osobom, którym na mocy wyroku sądowego odebrano prawa obywatelskie.

Z chwilą ogłoszenia urzędowego staje się zawsze prawomocny trzeci ustęp § 43 porządku procederowego. Ten brzmi jak następuje:

„Nie trzeba pozwolenia policyi do rozdzielania kartek wyborczych i druków, dotyczących wyborów do ciał prawodawczych od urzędowego ogłoszenia wyborów aż do końca dnia wyborów“.

Wobec tego każdy obywatel rzeszy niemieckiej ma prawo nieograniczone do rozdzielania wszelkiego rodzaju druków, dotyczących wyborów.

Na to rozdzielanie nie potrzeba obecnie aż do dnia wyborów zezwolenia policyi, nie potrzeba żadnej legitymacyi.

Żaden policyant, żaden żandarm, nie ma prawa do kontrolowania pism wyborczych w tym czasie. Każdemu wolno rozdzielać gazety z artykułami o wyborach, pisma ulotne, kartki wyborczę, obrazki, dotyczące wyborów i t. d. i to wszędzie, a więc na rynku, na ulicach, przed kościołem, jednem słowem na wszystkich miejscach publicznych i w lokalach zamkniętych, bez względu na to, czy jest płatnym agentem lub kolporterem, czy też czyni to dobrowolnie, z poświęcenia dla sprawy.

Nikt nie ma prawa konfiskować, to znaczy zabierać pism, które się rozdziela. Gdyby to jednak uczynił, trzeba się natychmiast zażalić i to w każdym wypadku, zachować odpowiedź, jaką się dostaje od władzy, zebrać materyał, aby go posłać potem parlamentowi. Jestto powód zupełnie wystarczający do unieważnienia wyborów, jeśliby przeciwnik miał zwyciężyć. Gdyby takie nadużycia miały zachodzić, należy je podawać do publicznej wiadomości.

Telegram.

Donoszą nam z poważnj strony, że w powiecie chodzieskim pp. *St. Preibisz* z Rzadkowa i *Waligórski* z Ustronia weszli w układy z komisyą kolonizacyjną celem sprzedania swych wsi. Ajent komisyi p. Kronheim wraz z dwoma urzędnikami rejencyi bydgoskiej zwiedzali niedawno odnośne majątki i — jak pisze nam nasz korespondent — sprzedaż ma przyjść do skutku.

Przykrym naszym obowiązkiem jest podać to do publicznej wiadomości, lecz nie sądzimy, aby dwaj obywatele, noszący uczciwe polskie nazwiska, żywili rzeczywiście zamiar wydania swych kęsów ziemi polskiej, potem i krwią naszą zros[illegible]onej, w ręce tych, co czyhają na naszą zagładę. Być może, że komisya poluje na te dwa majątki, ale niepodobno przypuścić, że pp. Preibisz i Waligórski dają posłuch, jej ofertom, chcą zapisać się na czarnej liście sprzedawczyków [illegible] w opinii publicznej. Przecież w najgorszym razie poruszyli-by niebo i ziemię, aby sprzedać swe wsie rodakom. Nie brak przedsiębiorczych banków parcelacyjnych, do których mogli-by się zwrócić tem więcej, że sąsiednia wieś Rzadkowo jest zupełnie polską, zamieszkałą przez samych gospodarzy i nadaje się doskonale do parcelacyi. Dla sprawy polskiej w tym powiecie rzecz to wielkiej wagi, bo przez sprzedaż wzmiankowanych wsi komisyi polskość w tych stronach utraciła-by całkiem fundament pod nogami.

Wobec sprężystości naszych firm parcelacyjnych nikt nie może dziś szukać wykrętów i zasłaniać się tem, że nie mógł sprzedać swej wsi Polakowi. Zresztą najlepszy wykręt nie obmył-by z winy sprzedawczyka, z ciężkiej winy przeciwko Ojczyźnie.

Niechaj te słowa będą przestrogą!

Redakcya.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Szanownych Czytelników *w Galicyi*

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Formularze na przekazy pocztowe dla prenumeratorów, odbierających „Pracę“ w Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech pod opaską, dołączamy.

Kwity na „Pracę“ i „Czytelnią“ zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.



Wspomnienie historyczne.

Weterani — wojacy przy grobie księcia Józefa Poniatowskiego, naczelnego wodza wojska polskiego.

ALBUM „PRACY."

DRUKIEM „PRACY."

Dział illustrowany

Zofijówki piękna pani.

Na przedmieściu Kamieńca Podolskiego, w kościele przystrojonym jak na uroczystość jaką odpustową, o południu czerwcowego pogodnego dnia 1779 roku:

Jaśnieje ołtarz; potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary.
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam pożółkniały ksiąg pergamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Na kobiercu zaś owym, przed księdzem kanonikiem Chmielowskim, przyobleczonym w pontyfikalne szaty, staje nowożeńców tak okazała i tak piękna para, że wizerunki świętych Pańskich, rzeźbą misterną u filarów ołtarzowych odtworzone, zazwyczaj taką wspaniałością jaśniejące, wydają się teraz tłumom zalegającym kościół, z gruba ciosanemi, wyblakłemi, z wioskowej „szopki" lalkami.

To imć pan Józef de Witte, major regularnych wojsk koronnych i szef pułku piechoty, syn plac-komendanta kamienieckiego, starego jenerała, świeżo nobilitowanego, wstępuje w związki małżeńskie z najpiękniejszą z pięknych, z imościanką Zofją Clavone. A podczas, gdy uroczysty *Veni Creator* brzmi nad głowami zgromadzonych, przygłuszany od chwili do chwili salwami wiwatówek, ustawionych na okopach zamkowych, kumoszki kamienieckie, stłoczone u kratek, trącają siebie łokciami, oczy wznoszą w niebo i troje dziwów szepczą sobie do ucha.

Szepczą zaś sobie do ucha kamienieckie kumoszki, że — Sodoma i Gomora! — tę oto pannę młodą, stojącą teraz u ołtarza w takiej pompie i paradzie, przywiózł do Kamieńca, jako kupioną niewolnicę, poseł Rzeczypospolitej, wracający ze Stambułu. Podobno rodzona sprzedała ją matka, ba, i ją i starszą siostrę. Pan poseł, jak mówią, porzucił je, był w Kamieńcu doczasu, ale syn jen. komendanta upodobał sobie starszą, i że wpływy miał w Warszawie, a krew nie wodę w żyłach, dokazał, iż obie w Kamieńcu pozostały. Przewidujący chłopak ani słowa, że zatrzymał obie! Już zeszłego roku jesienią obmierzła mu starsza Greczynka, i kędyś w świat ją puścił, a rozgorzał afektem ku młodszej, oto tej Zofji, w rzeczy samej pięknej, jak najprzedziwniejsze malowanie..... W tem miejscu kumoszkowych konfidencyj ruszono się z kościoła i postępujący za kumoszkami imp. strażnik dosłyszał tylko, sunąc się przez kruchtę, urywane słowa, dobywające się z pod kapturków:

— Stracił głowę, a rozumie się, z nią razem i rozsądek mężczyźnie przynależny... Opierała mu się, opierała, że wreszcie, widząc próżność wszelkich fortelów, spytał ją: „Którędyż, niech wiem, droga do waćpanny prowadzi?"

— A ona, droga pani, a ona?

— Ona odpowiedziała mu: „Przez kościół."

Tu już nie strzymał się p. strażnik, uśmiechnął się pod wąsem i mimowoli, głośno rzekł: „Tak jest!"

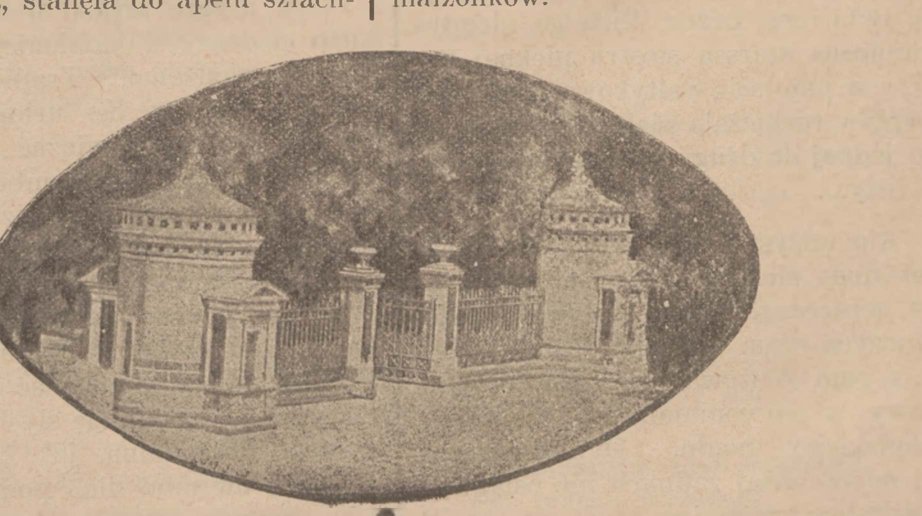
I moglibyśmy nie baczyć na gawędy kumoszkowe i wiary im nie dać, gdyby nie to przytwierdzenie imp. strażnika, męża słynnego ze stateczności wielkiej i tak dalekiego od nieprzystojnych plotek wszelkich — jak piękna Gryczynka od mocnego postanowienia uszczęśliwienia pana swego i małżonka.

Trzeba atoli przyznać, że w rok niespełna po ślubie, gdy zdarzyła się okazja zamanifestowania, że jest towarzyszką dozgonną światowego pana majora, chętnie, a nawet skwapliwie rolę tę na się wzięła. Zgodziła się bez szemrania towarzyszyć mu — do Paryża.

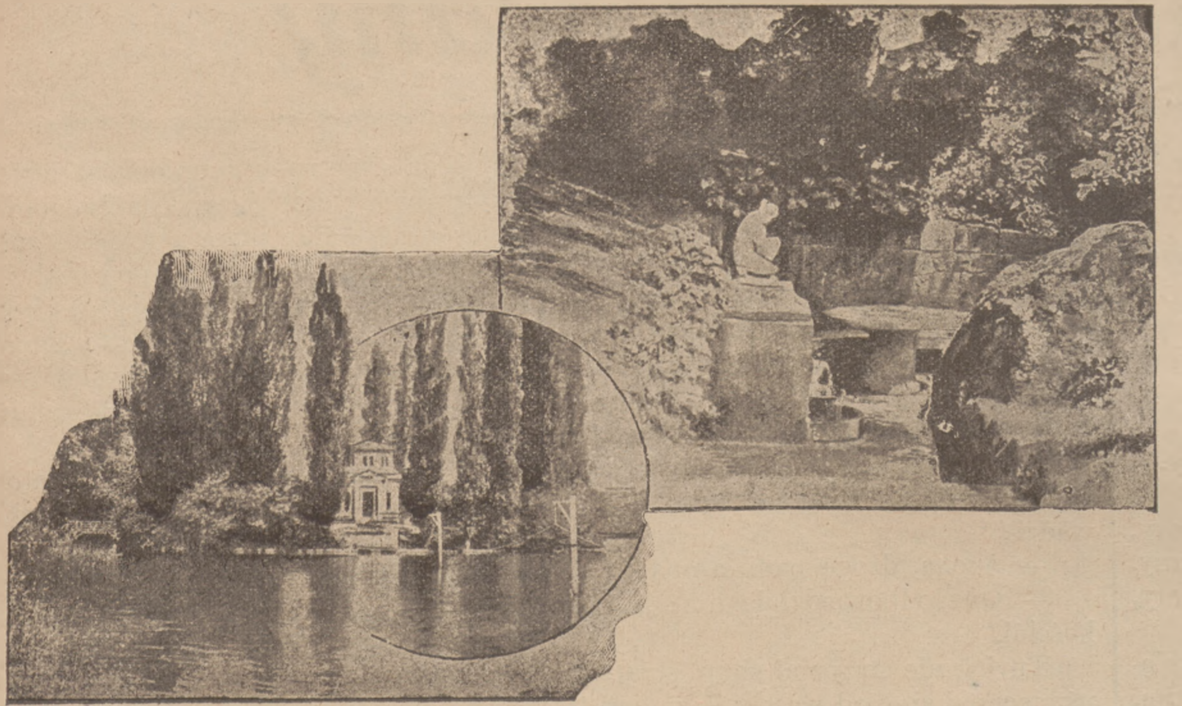
Paryż zachwycił ją i ona zachwyciła sobą Paryż. W najwyższych sferach towarzyskich stolicy świata składano hołdy jej piękności i wdziękom i — uczono ją moc wdzięków tych cenić i wyzyskać. Nauka nie poszła w las. Skoro tylko, w 1782 r. wrócili małżonkowie do cichego Kamieńca, pierwszem staraniem pani młodej było stworzenie w nim sobie paryzkiej atmosfery. Zamiast książąt, stanęła do apelu szlachta, i na świetnych reunionach, utworzyła dwór czarującej pani domu. Sposób używania przez nią wcale znacznej fortuny mężowskiej podniósł się na świetniejszą i rozrzutniejszą jeszcze stopę, gdy stary jenerał Witte umarł i mąż pani Zofji zajął ojcowskie stanowisko komendanta twierdzy kamienieckiej.

Towarzyskie te tryumfy jęły atoli rychło niewystarczać. Nazbyt bystrem okiem rozglądała się pani Witte'owa naokół, aby nie dostrzedz, że w walce politycznej, toczącej się podówczas na widowni upadającej Rzeczypospolitej, stronnictwa narodowe traciły grunt pod sobą, a natomiast zwolennicy ścisłego z Rosją sojuszu i upatrywania w niej zbawienia, wzmagają się wciąż na siłach i wpływie. Egoistyczny interes doradzał przymknąć do — silniejszych. Pierwszym krokiem na tej szerszej widowni była wycieczka pani komendantowej na południe Rosji, w celu tentowania o złożenie czołobitności, znajdującej się wówczas (1787) w Krymie cesarzowej Katarzynie. Cel ów dopięty został, a piękna Zofja, z radości niezmiernej odbyła za jednym zamachem inną jeszcze pielgrzymkę — odwiedziła matkę w Konstantynopolu. I byłaby może zabawiła tam dłużej wśród baszów i zacisznych gajów oliwnych, gdyby nie naglące listy zazdrosnego, jak Otello, męża. Pan komendant, przykuty do twierdzy swojej, trapił się i alterował, a nikt rozsądny nie poczyta mu tego za zbytnią nerwowość. Nie poczyta mu tembardziej, zajrzawszy w dokumenta ówczesne, stwierdzające, że pani komendantowa „pośpieszyła" do męża, obracając drogę ze Stambułu do Kamieńca — na Lwów!

Droga nie była najkrótszą, krótkiem było natomiast pojednanie się małżonków.



Zofijówka dzisiejsza. Brama wjazdowa.



Zofijówka dzisiejsza. Część parku.

Nie upłynęło kilku miesięcy, a już widzimy panią Zofję, jeżeli nie *de jure*, to *de facto*, najzupełniej z mężem rozseparowaną. Widzimy ją nadto kroczącą coraz żwawiej po raz obranej drodze, do zamierzonego celu. Powiedziała sobie: trzymać się jak ślepy płotu silniejszych! I oto trzyma się; zaś, że oporę wybrała sobie silną w istocie, temu nikt nie zaprzeczy. Działo się to wszystko w porze owej, kiedy Potemkin w oblężniczem trzymał osaczeniu Oczaków, a hrabia Sałtykow dobywał Chocimia. Chocim ledwie zipał i już wysłał był Sałtykow do Potiemkina wieść dobrą, że Turcy proszą jedynie o trzy dni zwłoki przed ostateczną kapitulacją. Atoli między ową czarą a ustami stała się rzecz dziwna i niespodziana. Po trzech dniach, dano Turkom jeszcze trzy dni prolongaty, i jakoś trzydniówek owych końca nie było widać. Takiemu obrotowi sprawy wolno dziwić się dzisiaj nam; w Chocimiu atoli wówczas i w obozie oblegających nie dziwił się nikt takiemu kunktatorstwu. Najukochańsza żona tureckiego baszy, dowodzącego obroną, była owa, przez Witte'go niegdyś porzucona starsza siostra pięknej Zofji, a w namiocie Sałtykowa urok swój i wpływ roztaczała piękna Zofja sama. Od jednej do drugiej siostry wędrowały listy....

Ale wszystko ma swój koniec, nawet dusz siostrzanych korespondencja serdeczna, nawet wpływ najpiękniejszych oczu. Chocim został zdobyty, a pani Wittowa odjechała do Warszawy, z poleceniami, jak mówiono, rosyjskiego rządu. Dyplomatyczna jej misja bodaj żadnych nie osiągnęła rezultatów, natomiast urok jej i piękność zrobiły swoje. Cała Warszawa — pisze Niemcewicz — unosiła się nad nią, jak nad ósmym cudem świata. A najbardziej unosił się i płonął afektem niezmiernym młody wojewoda ruski, magnat jakich mało, Szczęsny Potocki, syn dziedzica Humańszczyzny. Wówczas to, w Warszawie, zjawia się ta pamiętna po wsze czasy postać przy boku pięknej Greczynki. Zjawia się na chwilę. Pani Witte'owa popasała w stolicy krótko i odjechała z powrotem do obozu — ale już nie Sałtykowa, tylko jeszcze silniejszego potentata: księcia Potiemkina. Zastała go wciąż pod Oczakowem, a w tak doskonałem dla niej usposobieniu, że ucho nie słyszało a oko nie widziało takich hojności i dogadzań najwybujalszym fantazjom, jakich przedmiotem stała się piękna dama. Królowała też w obozie, powiedzieć słuszniej: na dworze Potiemkina, bo wiadomo z dziejów, jakim przepychem i blaskiem otaczać się lubił ulubieniec cesarzowej. A cóż dopiero gdy mu dobrze fantazja służyła i popisać się zapragnął...

Cóż jednak myślał o tem wszystkiem siedzący w kamienieckiej twierdzy pan małżonek? Trapił się i alterował. Już raz, bez urlopu, pobiegł był do Lwowa nawiązać rekoncylijacje z wracającą ze Stambułu małżonką; potem kiedyś znowu zerwał się z placówki, zazdrością targnięty. Wreszcie w czasie, o którym mowa, w r. 1789, raz jeszcze nie wytrzymał i poleciał, porzuciwszy Kamieniec na Bozkiej opiece, przekonać się własnemi oczami, czy tak źle słychać pod namiotem Potiemkina, jak fama niesie. Wybuch ów miał dlań podwójny skutek. Stracił jednocześnie: reszte złudzeń i stanowiska w wojsku polskiem. Dano mu dymisyę. Potiemkin przyjął go do wojska rosyjskiego i uczynił go komendantem Chersonu, z pensyą rocznie 6 tys. rubli, oraz poleceniem, aby nigdy nie zjawiał się tam, gdzie jest najzupełniej zbytecznym.

Witte pojechał do Chersonu, a żona jego z Potiemkinem do Jass, gdzie panowało wielkie ożywienie. Układano się z jednej strony z Turkami, z drugiej — z stronnictwem polskiem, wzywającem pomocy Rosyi do obrony zagrożonych swobód szlacheckich. Stronnictwa tego najwybitniejszą personą był Szczęsny Potocki, zawsze marzący o odegraniu wybitnej roli i o — Zofji Witte'owej. Potiemkin miał mu w jednym — jak i w drugim dogodzić względzie. Wahał się Potocki w przyjęciu na siebie proponowanej mu roli; dziejopisowie utrzymują (między innymi dr. Antoni Rolle), że przemogła jego skrupuły piękna Greczynka. Wzamian za przystąpienie do Targowicy — otrzymał Zofję Witte'ową.

Tego już było zacnemu jej małżonkowi za wiele; oburzyło go takie przerzucanie z rąk do rąk, jego bądź co bądź, własności, i o mało, że Potocki nie miał srogich z protestującym ambarasów. Na szczęście, miał właśnie de Witte wielką dostawę pszenicy dla wojsk „sprzymierzonych" rosyjskich, jakichś mniej więcej 15—30 tysięcy korcy. Pszenicy tej nie dostarczył ani ziarenka; dług ów skarb Targowicy przyjął na siebie, a spłacił go — Szczęsny Potocki. Prosta ta operacja tak chwyciła za serce Wittego, że zamilkł i machnął ręką. Tego właśnie spodziewano się po nim.

Mógł tedy Szczęsny Potocki z ukochaną swoją wracać spokojnie do kraju i osiąść z nią w Tulczynie, dokąd rezydencję swoją przeniósł był z Krystynopola. Mógł „królik Rusi" klejnotowi, wydartemu z tyłu rąk, a nabytemu za nie bylejaką cenę, dać przepyszną w magnackiej siedzibie — oprawę. Złotogłowiem i aksamity zabłysnął i zaczerwieniał pałac Tulczyński, z napisem na froncie: „Oby zawsze wolnych i cnotliwych był mieszkaniem."

Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole,
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne...

miał zawołać po latach Słowacki. Ale wówczas, gdy półsetki osób dzień w dzień zasiadało do pańskiego stołu w

Tulczynie, któżby z impertynencją taką wyrwać się odważył! Któżby śmiał podnieść głos wobec dziedzica jedenastu miast, dwustu wsi, tylu to a tylu kluczów, na spadkobiercę Humańszczyzny po ojcu a fortuny Łaszczów po matce! Któżby poważył się nie paść plackiem do nóg tej, na której szyi błyszczał dar wojewodziński, sznur stu pereł, po pięć tysięcy dukatów każda, sznur tak oślepiający, jak piękność faworyty, a tak cenny, że dziś jeszcze miejsce ma widne w skarbcu korony rosyjskiej.

Podniósł się głos jeden tylko wówczas: głos Potockiego żony. Była nią Marjanna-Józefina Mniszchówna, kasztelanka krakowska, stale przebywająca w Petersburgu. Komu jak komu, ale jej należało się słusznie prawo protestu. Nie protestowała jednak bynajmniej pani wojewodzina w imię naruszonych więzów rodzinnych, — chodziło jej o fortunę dla siebie i dzieci. Rozpoczęły się rokowania, w których trakcie wyjechał Potocki z piękną Zofją na sejm do Grodna. A tam, w Grodnie, wśród wiwatów i gędźby kapeli, spadła wielka ołowiana chmura rozczarowań na olbrzymie projekty i marzenia marszałka Targowicy... Szukał zapomnienia w oczach zawsze przecudownych Greczynki, i z powszechnego rozbicia uniósł ją jedną napowrót do Tulczyna. Waliła się z posad Rzeczpospolita, gruzy zataczały się aż pod balkony tulczyńskiego pałacu, a Szczęsny Potocki siedział z głową wspartą na ramieniu najpiękniejszej pod słońcem kobiety i szklanemi oczyma wpatrywał się — w przeszłość.

Czy kochała go ta najpiękniejsza kobieta? Tego do dziś dnia nie wypośrodkowali najbieglejsi psychologowie. Natomiast wątpliwości nie ulega, że Potocki oddanym jej był całą duszą, od pierwszego poznania w Warszawie, do — zgonu. I przeto też, aby ją przy sobie zachować, przystał na „komplanację“, proponowaną przez żonę. Układ ów zasadzał się na odstąpieniu całej fortuny żonie i dzieciom i na pobieraniu rocznej pensji w kwocie 50 tysięcy czerwonych złotych. Tak załatwiwszy „interesa“, z Greczynką swoją odjechał do Hamburga, mając zamiar żyć tam z nią w ciszy i odosobnieniu.

Cisza ta i odosobnienie przybrały atoli rychło niezależną od niego postać. Przekonał się niebawem, że nie on usunął się od świata, ale ludzie odsunęli się od niego.

Nikt z licznych przejezdnych i wychodźców, zarówno Polaków, jak Rosyan, nie zajrzał do Szczęsnego Potockiego; nie chciał go znać nikt. Piękna Zofja, pozbawiona odpowiedniego gruntu, więdła z nudy i tęsknoty przy boku spochmurniałego męża. W dodatku, wojewodzina nie troszczyła się wcale o fortunę i tak rzucona na łaskę służby, nie przynosiła ani grosza; to też i pensja 50 tysięcy dukatów jęła zarywać, aż wreszcie dochodzić przestała. W hamburskie progi jednego z największych magnatów w Europie zajrzała — bieda. *Cz. J.*

(Dokończenie nastąpi.)

Idzie żołnierz borem, lasem...

I.

Od północy wicher śwista,
Pusta droga, noc za pasem,
Idzie sobie legionista,
Idzie żołnierz borem, lasem.
Obtargane lederwerki,
Nogi czarne, jak ta gleba,
A w tornistrze kąsek szperki
I czerstwego kawał chleba!



Szczęsny Potocki.
Malował z natury P. Battoni, sztychował w 1783 r. Cunego.
(Ze zbiorów Wł. ks. Czetwertyńskiego).

Cały w łatach mundurzyna,
Furażerka — żal się Boże!
Ale jeszcze barwa sina
Przy ponsowym lśni kolorze!
Z kijem w garści, niby ślepy,
Postękując krzywo czasem,
Przez bezdroża, przez wertepy
Idzie żołnierz borem, lasem...

II.

Na zachodzie strop się pali,
Morze ognia płynie w górze,
Kędyś wioskę widać w dali,
Całą w złocie i w purpurze.

Po nad strzechy dym polata,
Żóraw skrzypi gdzieś u studni,
Ze źrebięciem klacz srokata
Na podwórzu dworskiem dudni!

Siwy bociek hen klekota
Na kościelnej starej wieży,
Srebrna Wisła z łąk migota,
Co do Gdańska szumnie bieży.

To zadźwięknie śmiech przelotny,
To ktoś piosnkę huknie basem, —
A tam, smutny i samotny,
Idzie żołnierz borem, lasem...

III.

Noc zapadła tak ponura,
Jak był jasny dzień miniony, —
Dookoła czarna chmura,
Jak krew, księżyc lśni czerwony.

Jakby ludzkie serce płonie,
Z krwawej piersi wyszarpnięte,
Wszystko głuchnie, w mroku tonie,
A to serce drga — przeklęte!

Ani chaty, ani pola,
Ani chleba, ani wody,
Jeno z tobą zła niedola
Na pustkowiu sprawia gody!

Jeno gwiazdy tam migocą,
Pokazując drogę czasem, —
Cichą nocą, głuchą nocą
Idzie żołnierz borem, lasem!

IV.

Hej, dorobek niesie suty:
Blizn bez liku! bose nogi! —
I żelazne zdarłby buty,
Ten co schodził takie drogi!

Od południa do północy,
I od wschodu do zachodu
Latał orzeł w orlej mocy
Z państwa słońca w państwo lodu.

A za orłem, skrzydłem burzy
Gnały ptaki z krańca w kraniec,
Krwawiąc pióra w tej podróży,
Z serc pod niebo sypiąc szaniec.

Gdy wędrówkę wspomni ową,
Serce wali tolumbasem, —
Z podniesioną hardo głową
Idzie żołnierz borem, lasem...

V.

Ot, szablica z rdzawą klingą,
Jeszcze na niej krwawa rosa!
Zna ją dobrze San-Domingo!
Sommosierra! Saragosa!

Nad Adygą, nad Wezerą,
U zielonej Renu fali,
Błyskawicą lśniła szczerą
I piorunem krwawej stali!

Pod płomiennych nieb szafirem,
W łunie piasku jarzącego,

Ona niegdyś pod Kairem
Osłaniała Sułkowskiego.

Śpi Sułkowski gdzieś w Egipcie,
Ukojony słodkim wczasem, —
Tak czytając, jakby w skrypcie,
Idzie żołnierz borem, lasem...

VI.

Bo ma księgę w swej pamięci
Stary wojak-inwalida, —
To w wyrazie łza się kręci,
To dżga butnie, gdyby dzida!

Nić się krwawa wskroś przewija,
A po brzegach zorza złota,
A na kartach — kanalija! —
Ludzkim głosem łka tęsknota!

Łka tęsknota wielkim głosem,
Bóg wie jeden, Bóg ją zważył!
Za jaśniejszym jakimś losem,
Co się marzył — i przemarzył!

Zań to walczył w owej dobie
Z biciem bębnów, z trąb hałasem, —
Śniąc o grobie! wielkim grobie,
Idzie żołnierz borem, lasem!...

Or—ot.

Kwiecień.

Poweselał pan Zagłoba, ile że mu nie tyle kwiaty i zioła (na które krowy i poetae z uciechą patrzą), co kiełbasy wielkanocne zapachniały i, poprawiając pasa na obwisłym brzuchu rzekł:

— Ano, jużci i kwiecień, godny miesiąc, któren z palmą w kwietnią niedzielę do nas idzie i Wielki dzień zwiastuje. Tedy na Rusi wierzbowemi gałązkami się biją i powiadają:

Nie ja biju,
Wierzba biju,
Za tydneń,
Wełyk dień!

A zaś w palmie wierzba z białemi kotkami króluje, które przeciw bólom gardła łykać się godzi, miodem przystojnie popłókując. Nie masz przedniejszego medykamentum niż owo!

Poruszył się niespokojnie pan Zagłoba, na szklenicę oczyma łypnął i po gardle się pomacał:

— Zdaje się, jakoby mnie tu coś niepoczciwego łechtało...

Jakoż, nie mieszkając, kotek parę połknął i miodem dokumentnie pokropił, a, westchnąwszy — z ulgą rzekł:

— Zaraz, jakoby kto ręką odjął. Probatum est!... Com tedy chciał mówić?... Aha!... Otóż wierzba pierwsza się w kotki stroi i do palmy gałązki daje. Mizerne to drzewo, niby wróbel między innemi a na mazurskich piaskach i wedle onej Wisły bez miary się pleni. Umiłował zaś ją Pan Jezus, skoro do palmy dla siebie przypuścił, a jest ci o tem taka gadka:

Onego czasu w Ogrójcu oliwnym była i wierzbinka licha, z której żołdactwo rzymskie i pospólstwo żydowskie rózgi brało do biczowania króla Nazarejskiego. Płakało z tego powodu niewinne drzewo, że to jest narzędziem kaźni dla Zbawiciela, ale pomódz nic nie mogło. Odtąd zaś rozmiłował się w niem dyabeł i ciągle chodził do wierzby w zaloty. Wierzba schła, marniała, a kusy jeszcze się bardziej w amory puszczał, tak że nawet z tego proverbium powstało: „kocha się, jak dyabeł w suchej wierzbie.“

Skarżyła się wierzba Panu Jezusowi, a Ten, choć winy jej dawno przebaczył, powiada:

— Juści łaski swej nie odmówię, jeno mi kusego tęgo wypierz!

Zakarbowała to sobie wierzba w pamięci i czekała tylko okazyi.

Raz — a było to ku wiośnie — przyszedł znowu kusy w zaloty. Chodził ci on zasie rozmaicie: to jako chłop Rokita, to jako szlachcic Boruta, to jako zgoła niemiecka pokraka w pluderkach. Teraz zasie przemienił się w kota, oczyma zielonemi świeci, kark wygina, ogon ku górze pręży i drze się, niby w marcu. Wlazł w dziupło wierzby i powiada:

— Miłuję cię wierzbo, ale mi w gardle zaschło, tedy mi daj pić!...

Takie to owo piekielne tałałajstwo szlacheckie gusta miewa!

Tu z obrzydzeniem splunął pan Zagłoba i abominacyę miodem zapił.

— Wierzba zasię, chociaż z pozoru stara, od soków wiosennych pęczniała, co zgoła świadczy, jako i na Zagłobie nie jeden się pomylić może....

Westchnął znów mąż znamienity, krzywdy swoje z goryczą wspominając i tak dalej prawił:

— Na czem tedy stanęłem?... Aha! Owóż wierzba postanowiła uczynić ofiarę i upuściwszy onego soku, któren jest słodki i niby moszcz winny się pieni, rzekła:

— Pij!

Kot pił, a że umiarkowania, które Zagłoba wszystkim zaleca nie znał, tedy mu brzuch nad miarę pęczniał. Jużci i kury ranne pić... chciałem rzec: piać zaczęły, gdy bies do otchłani piekielnych fugas chrustas uczynić pragnął. Chce wyskoczyć z dziupła, a tu mu żywot napęczniały przeszkadza. Ani rusz, przepchać się nie może. Wtedy, że to już moce piekielne przystępu nie mają, o świtaniu, jak ci wierzba nie zacznie prać kusego, jak ci nie zacznie rózgami siec, pękami młócić, aż ci kłaki z nieczystego w około leciały, a w niebie było słychać. Bies wreszcie kadłub opasły przez szparę przecisnął, na wierzbę parsknął, rzucił się na ziemię i jeno się po nim smród smoły i siarki rozszedł.

Wierzba zasię w rannym wietrze



Szczęsny Potocki
z synami Szczęsnym i Stanisławem. Według portretu z kolekcji J. Łoskiego.

gałęziami machała, rosą się srebrzystą stroiła i szeptała sobie radośna:

— Anom kusego sprała! Ha!...

W niebie śmieli się wszyscy święci, a św. Piotr klucznik i kanclerz niebieski, że to był zawsze krotochwilny, zawołał:

— Kiedy ci wierzba czarnego koczura sprała, tedy jej dać na pamiątkę białe kotki...

Słyszał to Pan Jezus i rzekł:

— Niech się tak stanie!

I owóż z wczesną wiosną nizka wierzba pierwsza się w kotki stroi, niby dziewucha aryjska w perły, albo li godny kwestarz bernardyński w paciorki, i do palmy rózgi swoje daje, które, choć nie ze swej woli srodze grzeszyły, tedy po woli moce piekielne uczciwie przetrzepały.

Odpocząwszy zaś nieco, tak mąż znamienity konkludował:

— Owóż patrzcie, mości panowie, jako cnota zawsze nagrodę bierze, a nieumiarkowanie — chłostę. Tedy wy, którym już przez święta wielkanocne kiełbasy smakowały, a pełne szklennice się śmiały, baczcie, jakoby wam się, jako kusemu, wierzbowemi rózgi nie oberwało.

Z Zagłoby przykład bierzcie, któren spartańską cnotą zawsze świecił, i kamedulską wstrzemięźliwością się odznaczał. Miarę tedy zawsze chowajcie i zbytków się strzeżcie, ochocie w jedle i opilstwie nadto nie folgując. To wam powiada Zagłoba.... Nie wadzi bowiem o wstrzemięźliwości pamiętać na Przewodnicę... Sapienti sat!

I setnie ze szklenicy upił pan Zagłoba.

Nix.

Zabójstwo cara Piotra III.

7-go lipca 1762 roku.

(Dokończenie.)

Wieczorem tegoż dnia, wracając od księżnej holsztyńskiej, Daszkowa była ogromnie zdziwioną, znalazłszy Grzegorza Orłowa rozciągniętego na kanapie z bosemi nogami, rozpieczętowującego depeszę tylko co nadeszłą z Petersburga od najwyższej rady.

— Co pan robisz? — zapytała go Daszkowa ze zdumieniem.

— Mnie carowa rozkazała.

— Nie może być — odpowiedziała Daszkowa — pan nie masz do tego prawa!

Orłów spojrzał na nią ze wzgardą i nic nie odpowiedział.

Wkrótce weszła carowa i usiadła do stołu, na którym stały trzy nakrycia, zapraszając Daszkowę, by usiadła przy niej.

Wtedy to Daszkowa przekonała się, że między Katarzyną a Orłowem była *„une liaisun.“*

W kilka dni po przybyciu nieszczęśliwego Piotra III. do Rapszy, żołnierze gwardyi zaczęli namyślać się, co oni dobrego zrobili, zrzucając z tronu wnuka Piotra I., i sadząc na tron jakąś Niemkę, która już pospieszyła przybrać sobie kochanka. Większa część ich bez wszelkiej myśli i przekonania była wciągnięta w ruch, tem tabunnem uczuciem, które egzystuje w masach; i dlatego gdy przyjemność rozporządzania koroną przeszła, poczęli żałować tego, co zrobili. Majtkowie, którzy nie przyjęli udziału w rewolucyi, wyrzucali gwardjakom publicznie, że przedali cara swego za szklankę piwa.

Zaczęto z cicha mówić o smutnym losie Piotra. Katarzyna spostrzegła, że nie może być spokojną, dopóki Piotr będzie zostawał przy życiu.

Siódmego lipca 1762 r. do pokoju Piotra III. weszli: Aleksy Orłów, przezwany *balafre,* bo miał na twarzy szram otrzymany w pewnej bójce w szynku, Boriatyński, Pasek i Baskaków. Oznajmili, że przychodzą do Piotra na śniadanie. Według zwyczaju, przed śniadaniem podano wódkę, i w chwili, kiedy odwrócił się Piotr na stronę, Orłów wsypał truciznę do kieliszka. Piotr wypił śmierć najspokojniej, nic nie podejrzywając, i zasiadł do jedzenia. Czy chcieli zbójcy donieść carowej wiadomość o śmierci jej męża prędzej, czyli też nie chcieli czekać powolnej agonii, nie wiadomo, ale Aleksy Orłów wstał od stołu, nasypał jeszcze raz trucizny do kieliszka, zalał wódką i podał Piotrowi kieliszek do wypicia. Czując już boleść wewnątrz, widząc trzęsące się ręce Orłowa i dziki wyraz na twarzach jego kolegów, Piotr z przestrachem odtrącił od siebie kieliszek. Oprawcy poskoczyli z miejsc swoich, rzucili się na niego, zmuszając, żeby pił koniecznie. Piotr, pojąwszy okropność swego położenia, zaczął się bronić z rozpaczą. W czasie tej walki, żeby zagłuszyć krzyk ofiary, który mógł być słyszanym na zewnątrz, schwycili go za gardło, powalili na ziemię, nożem otworzyli zęby ściśnięte i wlali w gardło resztę trucizny; lecz niezadowalając się tem, obwiązali mu serwetę wokoło szyi, i zaczęli nią dusić nieszczęśliwego, a olbrzym Orłów nastąpiwszy kolanami na piersi, z całej siły przygniótł go do ziemi i połamał żebra.

Ta okropna scena nie trwała długo. Piotr wyzionął ducha...

Niektórzy pisarze sądzą, że Katarzyna nie dawała rozkazu zabicia swego męża, lecz nam wiadomo, jak się dają podobne rozkazy: spojrzeniem, półsłówkiem, milczeniem... Jeżeliby ona nie chciała tego, pocóżby poruczała strzeżenie Piotra największym jego nieprzyjaciołom: Pasekowi, Baskakowowi, którzy chcieli go zabić jeszcze na kilka dni przed rewolucyą. I zacóż zbójcy tak bez wstydu byli wynagrodzeni na drugi dzień po spełnieniu zabójstwa?

W ten sam dzień, gdy się to stało, Katarzyna, w towarzystwie wielu osób, wesoło zasiadała do stołu; wtem wszedł Aleksy Orłów, rozczochrany, oblany potem, w podartem odzieniu, z dziką i przerażoną twarzą. Oczy jego, zmięszane i błyszczące niezwyczajnym ogniem, spotkały się z oczami carowej. Katarzyna wstała i udała się z nim do gabinetu. W kilka chwil wezwała do siebie Panina, który był naznaczony ministrem stanu. Carowa powiedziała mu, że Piotr umarł, pytała jak oznajmić o jego mierci narodowi. Panin radził zostawić to do dnia następnego, jak gdyby wiadomość o tem przyszła dopiero w nocy. Carowa, przyjąwszy radę jego, wróciła do stołu z tąż samą wesołością, z jaką usiadła. Najmniejsza zmiana twarzy nie zdradziła stanu jej duszy.

Na drugi dzień objawiono w stolicy, że car umarł w skutek kolek hemoroidalnych, na które już od dawna cierpiał. Katarzyna, ta niemiecka Lady Makbeth, bez wyrzutów sumienia, weszła do zebranych w pałacu osób z zrospaczoną twarzą, zalaną łzami.

Ciało Piotra przywieziono do Petersburga, i wystawiono na widok publiczny. Twarz i szyja jego były czarne, podrapane, i nosiły ślady gwałtu na nim popełnionego. Nie zważając na to, żeby zapobiedz samozwańswu i wszelkiemu ludowemu ruchowi na korzyść Piotra, ciało tego nieszczęśliwego monarchy trzy dni wystawione było na widok publiczny. Był ubrany w mundurze prostego olsztyńskiego oficera. Żołnierze jego holsztyńscy, bez broni, przychodzili do cerkwi, żeby po raz ostatni spojrzeć na swego zmarłego pana, i twarze ich wyrażały wstyd, żal i wzgardę.

Po pogrzebie odesłano ich nazad do Holsztynu, lecz na morzu w czasie burzy prawie wszyscy zginęli, niektórzy tylko dopłynęli na gołe skały sterczące z wody około brzegów Finlandji, lecz i ci nie byli uratowani, bo komendant Kronsztatu posłał pierwej zapytanie do Petersburga, czy należy ich ratować!...

Całą familję Piotra z honorem na-

leżnym Katarzyna II odesłała do Holsztynu.

Wiadomość o zabójstwie Piotra III przejęła Daszkowę zgrozą i oburzeniem. Nawet w zapiskach swoich księżna nie wspomina o szczegółach tego obrzydliwego zdarzenia, w którem czterej oficerowie a między nimi jeden atleta pół godziny pracowali, żeby zadusić serwetą otrutego aresztanta, jakgdyby nie można było poczekać niejaki kwadrans...

Gdy Daszkowa przybyła do pałacu, oburzenie tak było jawnie narysowane na jej twarzy, że Katarzyna II. od razu odgadła, co się działo w duszy jej młodej przyjaciółki, i dla tego z udanym smutkiem zaczęła jej opowiadać o okropnym wypadku.

— Tak wasza Carska Mość — odpowiedziała Daszkowa — śmierć ta zanadto prędko przyszła dla sławy waszej Carskiej Mości i mojej!...

Przechodząc potem przez salę, księżna głośno powiedziała:

— Mam nadzieję, że Aleksy Orłów uwolni mnie od swojej znajomości.

Czterdzieści lat ani słowa nie przemówili do siebie.

Daszkowa mówi w zapiskach swoich, że czytała list A. Orłowa, napisany do Katarzyny zaraz po zabójstwie (zapewne z rozkazu carowej); że list ten zawierał w sobie jawne ślady niespokojności, trwogi, strachu, i że widocznie był pisany w stanie opilstwa. List ten schowała carowa w osobnej szkatułce z innymi ważnymi dokumentami. Paweł po śmierci matki kazał Bezborodce rozpatrzyć te papiery przy sobie. Doszedłszy do listu Orłowa, Paweł przeczytał go carowej w obecności Nielidowej, potem rozkazał Rastopczynowi przeczytać w. książętom.

Myśmy czytali ten list, i, ile pamiętamy, treść jego i ton były następujące:

„Matuszka Caryca! Co Tobie mamy powiedzieć? Co my zrobiliśmy? Wydarzyło się nieszczęście! Zajechaliśmy do Twego męża i wypiliśmy z nim wina. Ty wiesz, jaki on, gdy sobie podpije, słowo za słowem on nas tak skrzywdził, że doszło do bójki. Patrzymy, a on i upadł martwy! Co robić? Weź nasze głowy, jeżeli chcesz, lub matuszko miłosierna pomyśl, że już tego poprawić nie można i wybacz nam winę naszą‘‘......

Wkrótce rozeszła się pogłoska, że carowa chce wyjść za mąż za Grzegorza Orłowa. Ogólne nieukontentowanie było odpowiedzią na tę pogłoskę. Carowa powstrzymała się od tego kroku, lecz dowiedziawszy się, że i Daszkowa mówiła o tem z oburzeniem, posłała do męża jej następną zapiskę:

Ja bardzo nie chciałabym być zmuszoną zapomnieć zasług księżnej Daszkowej za jej nieostrożne prowadzenie się. Przypomnij jej o tem panie, gdy zechce pozwalać sobie nieskromnej swobody w słowie, dochodzącej do gróźb.

Katarzyna II.

Słowa Piotra III. o cytrynowej skórce zbyt prędko spełniać się zaczęły!... Daszkowa musiała wyjechać za granicę; ale Katarzyna nie mogła darować jej tego, i — jak widzieliśmy, wyżej, w procesie Mirowicza starała się wplątać kobietę, która ją na tron posadziła, żeby ją ukarać za zdradę stanu.

Taką była Katarzyna II.!

J. S.

ORSO.

Nowela.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

(Dokończenie.)

Wypocząwszy małą godzinkę, dzieci poszły dalej. Jenny wkrótce zachciało się pić, na co Orso, w którym widocznie budziła się przemyślność indyjska, poradził, nazrywawszy owoców kaktusowych. Było ich mnóstwo i wyrastały z jednych liści wraz z kwiatami. Wprawdzie obierając je, pokłuli się oboje o delikatne jak włosy kolce, ale za to owoce smakowały im wyśmienicie. Słodkawy i kwaśny smak ich ugasił i pragnienie i głód zarazem. Pustynia nakarmiła dzieci jak matka: posiliwszy się, mogli iść dalej. Kaktusy piętrzyły się coraz wyżej, można rzec, że wyrastały jeden drugiemu na głowie. Grunt, po którym szli, podnosił się zwolna, ale ciągle. Raz jeszcze ze wzgórza obejrzawszy się, ujrzeli Anahaim na poły rozpłynięte w oddali, podobne do wielkiej kępy drzew rosnących na nizkim stepie. Cyrku już nie było widać ani śladu. Sli jednak bardzo wytrwale całemi godzinami ku górom, które rysowały się coraz wyraźniej. Okolica zaczęła przybierać inną postać. Między kaktusami pojawiały się już różne krzaki a nawet i drzewa. Zaczynała się lesista część podgórzy przy Santa-Ana. Orso złamał jedno z mniejszych drzew i poobrywawszy gałęzie, uczynił z niego maczugę, która w jego ręku mogła być straszliwą bronią. Instynkt Indyanina szeptał mu, że w górach lepiej jest mieć choć pałkę, niż gołe ręce, tembardziej, że powoli i słońce zaczęło już uniżać się ku zachodowi. Jego wielka ognista tarcza stoczyła się już nawet daleko za Anahaim i zapadała w ocean. Po chwili znikła, ale na zachodzie świeciły zorze czerwone, złote i pomarańczowe, podobne do długich pasem i taśm porozciąganych na całym niebie. Góry jeżyły się w tych blaskach, kaktusy przybierały różne fantastyczne kształty, podobne do ludzkich i zwierzęcych. Jenny czuła się zmęczona i śpiąca, ale zdążali oboje co sił do gór, choć sami nie wiedzieli dlaczego. Jakoż wkrótce ujrzeli skały, a doszedłszy do nich, odkryli strumień. Napiwszy się wody, szli dalej wśród łożysk. Tymczasem skały, z początku rozproszone i przerywane, zmieniły się na jednolite mury, potem na ściany coraz wyższe ,i tak weszli w kanion, czyli wąwóz.

Zorze gasły: mrok ogarniał ziemię coraz większy. Miejscami, gdzie lianosy przerzucały się z jednej strony ściany na drugą tworząc jakoby sklepienia nad strumieniem, było zupełnie ciemno i wcale straszno. Na górze słychać było jakby szum drzew, których z dołu nie mogli dojrzeć. Orso dorozumiewał się, że to już puszcza, w której pełno było zapewne dzikich zwierząt. Od czasu do czasu dochodziły już nawet stamtąd rozmaite podejrzane głosy, a gdy noc zapadła, słychać było wyraźnie chrapliwe beczenie rysiów, ryki kuguarów i płaczliwe głosy kujotów.

— Boisz się, Dży? — pytał Orso.

— Nie! — odpowiedziała dziewczynka.

Ale była już bardzo zmęczona i nie mogła iść dalej, więc Orso wziął ją na ręce i niósł. Sam jednak szedł ciągle naprzód w nadziei, że trafi na jakiego skwatera, lub na namioty meksykańskie. Raz lub dwa razy zdawało mu się, że widzi w oddali świecące oczy dzikiego zwierza. Przytulał wtedy jedną rękę do piersi Jenny która już spała, drugą ściskał swoją pałkę. Sam był także strudzony bardzo. Mimo olbrzymiej jego siły, Jenny poczynała mu już ciężyć, tembardziej, że niósł ją na lewem ręku; prawą chciał mieć wolną do obrony. Chwilami stawał dla nabrania tchu, potem szedł dalej. Nagle zatrzymał się i nadstawił pilnie uszu. Zdawało mu się, że zdala dochodziły go odgłosy dzwonków, jakie skwaterowie przywięzują na noc krowom i kozom. Ruszywszy śpiesznie naprzód, wkrótce doszedł do skrętu strumienia. Głos dzwonków stawał się coraz wyraźniejszy, a nakoniec dołączyło się do nich szczekanie psa. Orso był już pewny, że zbliża się do jakiejś siedziby ludzkiej. Dla niego czas był też wielki: wyczerpał się też przez dzień cały i poczynało mu już też sił brakować.

Minął jeszcze jeden skręt i ujrzał światło; w miarę jak posuwał się na-

przód, jego bystre oczy poczęły odróżniać ognisko, psa, który, widocznie przywiązany był do pnia, szarpał się i szczekał, a wreszcie siedzącego koło płomienia człowieka.

— Boże daj, aby to był człowiek z „dobrej książki‟ — pomyślał.

Następnie postanowił obudzić Jenny..

— Dży! — zawołał — obudź się, będziemy jedli.

— Co to? — pytała dziewczynka. — Gdzie my jesteśmy?

— W pustyni.

Rozbudziła się zupełnie.

— A tam co za światło?

— Tam mieszka jakiś człowiek. Będziemy jedli.

Biedny Orso był bardzo głodny.

Tymczasem byli już blizko ogniska. Pies szczekał coraz gwałtowniej, a stary człowiek siedzący przy ogniu przysłonił oczy i patrzył w ciemność. Po chwili spytał:

— Kto tam?

— To my — odpowiedziała cienkim głosikiem Jenny — i bardzo nam się jeść chce.

— Zbliżcie się! — rzekł stary człowiek.

Wyszedłszy z za wielkiego głazu, za którym byli ukryci, stanęli oboje przed ogniem, trzymając się za ręce. Starzec spojrzał na nich zdumionemi oczyma; z ust jego wyrwał się mimowoli okrzyk:

.. — *What is that?*

— Ujrzał bowiem zjawisko, które w bezludnych górach Santa-Ana mogło każdego zdziwić. Oto i Orso i Jenny mieli na sobie cyrkowe kostyumy. Śliczna dzieweczka, ubrana w różowe trykoty i krótką spódniczkę, pojawiwszy się nagle, wyglądała w blasku ognia jak jaki sylf fantastyczny. Za nią stał chłopak o niezwykłych kwadratowych kształtach, ubrany także w cielisty trykot, z pod którego przebijały jego muskuły na kształt sęków na dębie.

Stary skwater patrzył na nich szeroko otwartemi oczyma.

— Co wyście za jedni? — spytał.

Mała kobietka, licząc widocznie więcej na swoją niż towarzysza wymowę, poczęła szczebiotać:

— My z cyrku, kochany panie! Pan Hirsch wybił bardzo Orsa, a potem chciał bić mnie, więc Orso mnie nie dał i wybił pana Hirscha i czterech murzynów, i potem uciekaliśmy na pustynię i szliśmy długo przez kaktusy, i Orso mnie niósł, potem przyszliśmy tu i bardzo nam się jeść chce.

Twarz starego samotnika rozjaśniała się powoli, a oczy jego spoczęły z dobrotliwym ojcowskim wyrazem na uroczem dziecku, które śpieszyło się, jakby pragnąc wypowiedzieć wszystko jednym tchem.

— Jak ci na imię, mała? — spytał.

— Jenny.

— Więc wellcome, Jenny! i ty, Orso! Ja rzadko widuję ludzi.

— Pójdź do mnie, Jenny.

Mała kobietka bez namysłu zarzuciła swoje nagie rączki na szyję starca i ucałowała go serdecznie. Wydawał jej się z „dobrej książki.‟

— A czy nas pan Hirsch tu nie znajdzie? — pytała, oderwawszy swą różaną buzię od zwiędłej twarzy osadnika.

— Kulę znajdzie! — odparł starzec. A po chwili dodał: — Mówicie, że wam się jeść chce?

— O bardzo!

Skwater pogrzebał chwilę w popiele i wydobył z niego wspaniały udziec jeleni, którego zapach rozszedł się naokoło. Potem siedli do jedzenia.

Noc była pyszna; na niebo wysoko nad wąwóz wytoczył się księżyc, w gęstwinie poczęły śpiewać słodkim głosem mauhawisy, ogień huczał wesoło, a Orso począł mruczeć z radości. Oboje z dziewczynką jedli jak najęci — stary tylko samotnik jeść nie mógł — i niewiadomo dlaczego, spoglądając na małą Jenny, miał łzy w oczach.

Może dawniej był ojcem, a może w pustych górach ludzi rzadko widywał.

. . . .

I odtąd troje tych ludzi pędziło życie razem.

KONIEC.

Z teatru.

„Halszka z Ostroga‟ — dramat historyczny Józefa Szujskiego.

Jako obraz historyczny „Halszka‟ posiada swój urok i siłę atrakcyjną, właściwą dokumentom dziejowym, a dla publiczności niedzielnej stanowi pożądane widowisko. Romantyczny epizod z kronik rodzinnych Sanguszków i dawno wygasłego rodu Ostrogskich, który w Polsce ostatniego z Jagiellonów potężne zrobił wrażenie i nie przeminął bez przejściowego wpływu na ukształtowanie się stosunku panów ruskich do Korony, otwiera okienko do wnętrza Rzeczypospolitej. Szczególnie zaś ciekawem jest rozsądzenie sprawy przed tronem — sprawy, której istotna treść niemniej jak przebieg stanowi nader wdzięczny materyał dla autora.

Niestety słynny dziejopis nie zużytkował go, nie wyzyskał; punkt ciężkości sztuki chwieje się pomiędzy miłością sympatycznego kniazia do Halszki, a starciem indywidualności i popędów tejże z niezłomną w pancerz dumy okutą matką. A ani w jednym ani w drugim kierunku autor nie wyczerpał, nie uwypuklił nastręczających się momentów.

Faktura sztuki archaiczna, postacie traktowane szkicowo; jedynie odpychająca matka Halszki staje przed nami sportretowana dokładnie. Wprost niejasno zarysowuje się kasztelan Zborowski tak, iż nie umiemy zdać sobie sprawy, jakie motywy nakłoniły go do osobistego wykonania wyroku. Wrażenie całości osłabia zakończenie, teatralnie nieefektowne; przez usta Górki przemawia nagle historyk Szujski — o całe niebo lepszy od dramaturga.

Co się tyczy wykonania na wyszczególnienie zasługuje pani Królikowska, która role tego pokroju co wdowy po kniaziu Ostrogskim oddaje bez zarzutu. Halszkę grała panna Podgórska — z wdziękiem. Szczególnie podobała się w scenie żałobnej i w momentach o wysokiem napięciu, w których znajduje szczere akcenty w głosie. Sekundował jej dobrze pan Stradiot. Pan Ryger ucharakteryzował się jako król Zygmunt wybornie i uwydatnił właściwie jego charakter. Pp. Andruszewski, Ryszkowski i Poleński przyczynili się do harmonijnej całości.

Roman Rola.

Wiadomości.

— ***Za nadzwyczaj liczne życzenia „Wesołego Alleluja", nadesłane nam z blizka i z daleka, składamy Szanownym Czytelnikom, Zwolennikom i Współpracownikom naszego pisma najserdeczniejsze podziękowanie.***

Redakcya.

— **Walne zebranie** przedwyborcze na okręg wschowsko-leszczyński odbędzie się w środę dnia 22 b. m. w Lesznie o godz. 3-ciej na sali p. Nitschego w hotelu polskim.

O liczny udział wyborców z Leszna i okolicy prosi

Komitet.

— **Nowego regulaminu wyborczego**, który już wyszedł z druku, dostarcza Komitetom wyborczym na żądanie sekretarz Prowincyonalnego Komitetu wyborczego, dr. Krysiewicz w Poznaniu.

— **Z teatru**. W sobotę, dnia 18-go b. m. powtórzoną będzie bardzo zabawna krotochwila p. t. „Chcę sobie pohulać!"

W niedzielę po południu o godz. 3-ej „Hanusia", senne marzenie G. Hauptmanna. Sztuka pełna rozlicznych efektów i illustrowana piękną muzyką. Ceny do połowy zniżone.

W niedzielę wieczorem powtórzenie niezmiernie interesującej sztuki z włoskiego p. t. „Żywy posąg", którą z powodzeniem odegrano po raz pierwszy w zeszły czwartek na benefis pani Sznagowej i panny Zielińskiej.

— **Jako adwokat** osiadł w mieście naszem p. Zygmunt Gąsiorowski i otworzył biuro przy ulicy św. Marcina nr. 37.

— **Rodak** nasz, p. Mieczysław Janiszewski, syn obywatela ziemskiego ze Zdziersk pod Łabiszynem, zdał chlubnie egzamin abituryencki na obczyźnie w Neuwied nad Renem, przysposobiwszy się w instytucie politechnicznym dra Haenego w Strasburgu w Alzacyi.

— **Wiadomości** urzędowe kościelne. Komendy udzielono od 1 maja r. b.: ks. komendarzowi Snowackiemu z Zabartowa na beneficyum w Cerekwicy dekanatu obornickiego i ks. wikaryuszowi Zygarłowskiemu z Rogoźna na beneficyum w Gościeszynie.

Administracyą powierzono: ks. wikaryuszowi Niklewiczowi z Niepartu probostwa w Jutrosinie od Niedzieli palmowej i ks. Pomorskiemu, wikaryuszowi archikatedralnemu z Gniezna, parafii Dębno.

Na wikaryat powołano: ks. Pokorskiego, wikaryusza z Jutrosina do Niepartu.

— **Komisya** kolonizacyjna nabyła część dóbr rycerskich Lewic od posiedziciela p. Haza — Radlica, i to 950 hektarów, które rozparcelowane zostaną około 60 kolonistom, rzekomo wynania katolickiego. Lewice leżą w powiecie międzyrzeckim. — Ostrowite, w powiecie świeckim, w Prusach Zachodnich, idzie na kolonizacyą. Dziedzic tegoż majątku sprzedał Łopatki przed kilku laty także kolonizacyi.

— **Prima Aprilisowe uwagi** nadsyła nam jeden z czytelników z prowincyi, pisząc: „Przesyłanie kart illustrowanych na dzień „Prima Aprilis" itd. powinno przecież raz ustać. Jakkolwiek zabawka taka nie kosztuje wiele, zasługuje pod każdym względem na wszelką pogardę. Prowadzona jest często z powodu złośliwości ku adresatowi, zatem docinek jest zawsze przesadzony lub całkiem nawet niesłuszny. Sama karta bywa pastwą płomienia, ale gdyby wysyłający te „trojaki", które na karty wydali, wrzucili do puszki na jakiś cel szlachetny, postąpiliby tysiąc razy mądrzej, bo w handelkach przestanoby te zastarzałe błahostki sprzedawać, a publiczność widziałaby, że świat postępuje. Illustracye na kartach sieją często zgorszenie. Temu, który pierwszy kazał patrzeć „do światła", podstawićby trzeba prawdziwe światło, dopieroby poznał, co wynalazł."

Na uwagi powyższe piszemy się najzupełniej.

Zmarli:

† Ś. p. *Józef Tundak*, weteran z r. 1863, dnia 8-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 63 lata.

† Ś. p. *Balbina z Rezmerów Dylewska* dnia 5-go b. m. w 64 roku w Gowidlinie (Prusy Zachodnie).

† Ś. p. *Julianna Posadzy* dnia 6-go b. m. w 20 roku życia w Szymborzu pod Inowrocławiem.

† Ś. p. *z Chrzanowskich Ludwika Daszkiewiczowa* dnia 9-go b. m. w Kępnie, w 77-ym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 14-go b. m. w Olszowie.

† Ś. p. *Anastazya z Kosidowskich Boberska* w Poznaniu, dnia 11-go b. m., przeżywszy lat 37.

† Ś. p. *z Zabłockich Augustyna Brodowska* dnia 11-go b. m. w Psarach pod Ostrowem. Zwłoki złożono w Rossoszycy w grobie rodzinnym dnia 15-go b. m.

† Ś. p. *Halina z Trąmpczyńskich Reichsteinowa* dnia 12-go b. m. w Sierakówku pod Strzelnem, przeżywszy lat 25.

Ś. p. *Jan Popliński* dnia 12-go b. m. w Nadziejowie pod Środą w 49-tym roku życia.

Wiadomości literackie.

„**Quo Vadis?**" Treść zeszytu okazowego wychodzącego od kwietnia r. b. pod tą nazwą w Poznaniu miesięcznika jest następująca: Motyw. Quo Vadis Borussia christiana? Völker Europa's wahret eure heiligsten Güter — wiersz. J. E. minister hr. Rheinbaben ma głos. Justus. Löhning (działalność jego była destruktywną czy podtrzymującą dla ustroju państwowego). Dojrzałość polityczna prasy. Adoracya wzajemna. Fałszowanie historyi, skutki nieznajomości dziejów. Dzieło: porozbiorowe dzieje narodu polskiego. Skrzynka do listów: a) Korespondencye redakcyi, b) Odpowiedzi z grona czytelników. W dodatku ekonomicznym: Sprawy okowiciane. Konkursy firm kupieckich.

Wydawcą jest p. Tadeusz Swiniarski z Wągrówca.

Od Redakcyi.

Panu M. M. w Iserhohn. — „Kuryer Warszawski" w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 40.

Panu K. w Kassel. — Jeżeli wuj zobowiązał się dawać żonie mieszkanie i stół darmo, to nie może żądać wynagrodzenia. W każdym razie Pan długu za żonę płacić nie potrzebujesz, jeżeli nie żyjesz z nią w wspólności majątku.

Ruch w Towarzystwach.

— **Drezno.** Zarząd niżej podpisany urządza dnia 26-go b. m. wieczorem o godz. pół do 8-ej przedstawienie amatorskie i zabawę z tańcami na sali hotelu „Stadt Petersburg" (Neumarkt). Odegranym będzie utwór dramatyczny p. t. „Surdut i siermięga."

O liczny udział uprasza Szanownych Rodaków

Zarząd Koła śpiewackiego.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

„Poniedziałkowanie."

Dzisiejszy, dość jeszcze niestety rozpowszechniony obyczaj „poniedziałkowania,'' pochodzi z odległych czasów. Towarzysz, czeladnik, zdawna już tu i ówdzie robił sobie w tygodniu jeden dzień wolny, o ile to dogadzało jego chęciom, za co majster żądał znowu zwrotu kosztów, lub wytrącał mu z zapłaty. Już około roku 1450 w Niemczech weszło w zwyczaj przepędzać na zabawie w bezczynności poniedziałki — „poniedziałkować.''

Zwyczaj ten — jak i większość zwyczajów starożytnych mieszczańskich i rzemieślniczych — powstał w Niemczech, a my zaraziliśmy się nim od naszych sąsiadów, którzy razem z rzemiosłem przywieźli nam swój *„blaumontag''* — „niebieski poniedziałek,'' jak go Niemcy nazywają.

Początkowo próżnowano tylko pół dnia, lub tylko jeden dzień na dwa tygodnie. Atoli już w XVI. stuleciu czeladnicy „wywalczyli'' sobie jako prawo zwyczajowe, próżnowanie co tydzień w poniedziałek cały, lub pół dnia, a ci z nich, co z tych lub innych powodów opierali się temu, byli zmuszani solidarnie przez kolegów do poniedziałkowania.

Tymczasem w niektórych miejscowościach nie pozwalano na poniedziałkowanie w powyższym zakresie. Tak naprzykład, urząd zgromadzenia stolarzów w Wirtembergii w r. 1593 dozwalał na to najwyżej raz na 4—5 tygodni.

Frankfurcki urząd zgromadzenia szewców w r. 1589 zezwalał na poniedziałkowanie tylko pół dnia i to w tych razach wyłącznie, kiedy w tygodniu nie było święta. W Norymberdze około r. 1550 świętowano w poniedziałki tylko od podwieczorku i to wyłącznie w tych tygodniach, w których nie było święta.

W owych czasach bardzo uciążliwej i długiej pracy dziennej, przy zapłacie nie już na dniówkę, ale za jeden lub całe dwa tygodnie roboty, poniedziałkowanie nie było pozbawione całkowicie pewnej słuszności. Owszem, uwzględniano tę racyę — ale towarzysze zazwyczaj powinni byli „grzecznie'' odpocząć, zejść się na narady lub też wykąpać, co aż do połowy wieku XVIII. wszędzie w Niemczech uważane było za niezbędną konieczność.

Ale w praktyce — miał ten zwyczaj bardzo dużo stron ciemnych. Towarzysze nie przepędzali poniedziałków „grzecznie''. Przeciwnie „czynili oni rzeczy nieprzystojne, oddając się rozpuście i pijaństwu, bójkom i t. p.'' skutkiem czego „nie dawali majstrom swej pracy w poniedziałki, ale i w następne dni.'' Stąd też i w Norymberdze zezwalano na poniedziałkowanie od podwieczorku obowiązując towarzyszów, czeladników, do zachowywania się przystojnie i powstrzymywania się od awantur, bójek. pijaństwa i. t. p. — „jeżeli bowiem będą oni zachowywać się tak, jak to się dotychczas praktykuje, to zgromadzenie majstrów będzie zmuszone całkiem zabronić poniedziałkowania i karać łobuzów i wichrzycieli.'' Zabraniano poniedziałkowania i to pod karą pieniężną 2 marek w tych tygodniach, w których był jeden lub dwa dni świąt.

Atoli ta sama rada norymberska, wierząc w to, że czeladnicy najczęściej biorą wzór ze swych majstrów, którzy są dla nich nietylko mistrzami w rzemiośle ale i w życiu, zaleca i samym majstrom moralne zachowywanie się i powstrzymywanie, zwłaszcza w dni powszednie, od trunków i pijaństwa. „Aby ci majstrowie nie zmuszali swych żon lub dzieci szukać siebie w szynkowniach i wyprowadzać się ztamtąd, z czego dzieje się obraza boska i wstyd i zły przykład dla ludzi.''

Tak przedstawia się kwestya poniedziałkowania w oświetleniu historyi.

Co do nas, to nie możemy zaprzeczyć, abyśmy i pod tym względem nie postarali się wejść w ślady mistrzów niemieckich. I nasi rzemieślnicy, zwłaszcza w dobrych czasach obfitych zarobków, mieli upodobanie do wesołej zabawy, biesiad towarzyskich, butnej zwady — zwykle przy gęstem zaglądaniu do pełnego dzbana. A po takim wypoczynku niedzielnym, chętnie wypoczywali i w poniedziałek. Po niedzielnej zabawie czuło się znużenie, niesmak — więc w poniedziałek klin klinem... na robaka... jak majstrowie, tak i czeladnicy, co się i na wtorku odzywało...

Przeciw czeladnikom, którzy próżnowaniem poniedziałkowem czynili uszczerbek majstrom, starano się wprowadzić pewne rygory — ale oni, przy dawnej organizacyi cechowej, umieli wyłamywać się z pod przepisów, których aktualność wymagała zachęty i przykładu z góry. A tego jakoś nie dostawało.

Przyszły nareszcie chwile upadku rzemiósł, rozprzężenia ogólnego — i świętowano wtedy z musu, nietylko w poniedziałki. Brak pracy, ogólne zubożenie, nędza wśród rzemieślników doprowadziły do rozpaczliwego bezładu — a przy życiu z dnia na dzień — zarówno majster jak i czeladnik topił troski w kieliszku, jeżeli miał go za co kupić.

Aż nadeszły nowe czasy, zmieniono cechy i wszelkie z niemi zakorzenione zwyczaje. Ale i wolna konkurencya, wymagająca większego skupienia siły i energii od rzemieślnika, nie zdołała wyplenić poniedziałkowania, bo się ono i dziś praktykuje niestety.

A przecież w położeniu tak ciężkiem, w jakiem się znajdujemy, nie powinnibyśmy tego zgubnego zwyczaju Niemców dalej uprawiać — powinniśmy raz porzucić ich *„blaumontagi''* — a rządzić się sumieniem i rozumem, które nakazują szanować czas, zdrowie i pieniądze.

P. P.

Nowa ustawa
o rewidowaniu mięsa

przynosi niejakąś ulgę dla tych, którzy nierogaciznę, cielęta, owce i kozy zabijają, lecz jedynie do własnego użytku.

W ustawie jest mianowicie paragraf drugi ważny, który brzmi jak następuje:

§ 2. Zwierzęta, których mięso jest jedynie do własnego, domowego użytku właściciela, u których przed i po zabiciu nie zauważono objawów zaraźliwych chorób, nie potrzebują być poddawane rewizyi ani przed, ani po zabiciu. Mięsa tych zwierząt nie wolno atoli sprzedawać, lecz wyłącznie zużyć go należy we własnem gospodarstwie. Pod pojęcie „własnego gospodarstwa'' — nie podpadają jednakże koszary, lazarety, zakłady wychowawcze, restauracye, więzienia, domy ubogich, ani też domowe gospodarstwa rzeźników, handlarzy mięsa, gościnnych i restauratorów.

Karze wielkiej podpadają ci, którzy chcąc to prawo obejść, nie dają rewidować dlatego, że dla własnego użytku zwierzę zabite jest, a potem ukradkiem mięso komu sprzedają.

Dodatek Humorystyczny.

Bibułka.

Szewc Antoni był dobrym majstrem, ale też opojem niemałym, przez co pozyskał przydomek: „Bibułki.“ Żona martwiła się bardzo swoją niedolą, gdyż najczęściej odbierała razy pociągacza. A że to była bardzo pobożna niewiasta, przeto udała się do Ojców Bernardynów po radę. Ojcowie podjęli się poprawy jej męża i kazali pijanego przynieść do klasztoru. Z rana przebudza się szewc i według swego chwalebnego zwyczaju poczyna nucić ulubioną piosnkę: „Kasieczka: a gdzie moja flaszeczka? przez Boże męki, podajże mi do ręki, bo ja cierpię wielki ból, ból! Czy słyszysz Kasieczka? ty się nie ruszasz, ej jak cię kropnę, to ty zaraz mi wstaniesz.“

Ave Maria! zawołał w tej chwili braciszek zakonny, a otworzywszy drzwi, powiedział: Niech jegomość idzie na medytacye. Przeżegnał się szewc. Wszelki duch chwali Pana Boga, gdzie ja jestem? i począł ciekawie oglądać swoją chałupę. Lecz godzina nie minęła, wpada ojciec Gwardyan z ojcem Gaudentym Gwizdalskim, tęgim chłopem, noszącym za cholewą kańczug potężny. Czemu jegomość nie był na medytacyach?

Ależ zmiłujcie się czcigodni Ojcowie, ja nie wiem gdzie jestem i co się ze mną dzieje, ja szewc Antoni.

Patrzcie zawołał ojciec Gwardyan, jak się wyłgać chce niecnota. Wszakżeś ty dziesięć lat w zakonie, a teraz chcesz się łgarstwem ztąd wykręcić. A nu no Ojcze Gaudenty! pociągnij go smyczkiem. Dobył ojciec Gaudenty smyczka, jak zacznie gwizdać po plecach, szewc wrzeszczy i piszczy jak dusza w czyśću, a ojciec Gaudenty gwizda i gwizda. Nareszcie po trzydziestu gwizdonach zaprzestał, a ojciec Gwardyan zawołał: ubieraj się w habit.

Szewc rad nie rad przedzierżgnął się w habit i siedzi, maca się, czy to on? czy nie on? Ten sam Antoni, jeno pojąć nie może, jakim sposobem dostał się do klasztoru. Medytuje tedy: śniadania nie dali, nabili do woli, — — cóż to dalej będzie? W tem zadzwonili na obiad. Idzie on z drugimi do refektarza, ale tam kazali mu na środku klęczeć i postawili przed niego kufel czystej wody i kawałek suchego chleba. Napił się wody i wstał z drugimi do modlitwy po obiedzie. Podobnież było i na kolacyi; ba, na drugi dzień ta sama historya, klęczeć każą przy wodzie i suchym kawałku chleba, a tu po brzuchu cygani krakowiaka wycinają. Widzi szewc, że źle koło niego, uprosił kuchtę klasztornego, żeby pokryjomu zaniósł list do jego żony. Wziął kuchta list, a ponieważ do wspólnej zmowy należał, przeto nie zaniósł listu do Antoniowej, jeno prosto do ojca Gwardyana. Z niesłychaną tedy furyą wpada ojciec Gwardyan z Gaudentym Gwizdalskim. Jak ty śmiałeś niecnoto pisać list do cudzej żony? nie dosyć, że się wykręcić chcesz, ale jeszcze romanse rozpoczynasz w świętym zakonie. A nu no jeszcze Gaudenty, dobądź smyczka, wypędź mu romanse z głowy. Ojciec Gwizdalski jak zacznie po swojemu gwizdać, szewc wrzeszczy, a on gwiżdże. Wygwizdali mu tedy skórę należycie i zostawili mu dalsze kontemplacye. Szewc, zbity, przemyśliwa nad sobą, jak by tu z klasztoru wydostać się. Nareszcie nawinął mu się braciszek, który zdawał się podzielać jego utrapienie. Wypytuje się go, co tam słychać w mieście, czy żyje szewc Antoni? którego Bibułką nazywają. Opowiada mu tedy braciszek smalone duby o Bibulce, że żyje, że mu się dobrze powodzi, że z Antoniową codziennie tłustego kapłana zjada. Westchnął szewc bardzo ciężko, padł na kolana, i modlił się gorąco, żeby Bóg stan jego przemienić raczył. Modlitwa skutkowała, Ojcowie Bernardyni zwolnili nieco z ostrożności, nie kazali klęczeć i cokolwiek więcej jeść dawali. Lecz nie odstąpili od wmawiania w niego, że jest Bernardynem, co też poparli surowym rozkazem, żeby się przygotował z kazaniem na pewną niedzielę. Szewc uczy się kazania. — Przychodzi niedziela, szewc lezie na ambonę, ale spostrzegłszy swoją żonę w ławce siedzącą, zamiast kazania, począł wołać najprzód po cichu: Antoniowa! a potem głośniej: Antoniowa! Antoniowa! Bernardyni ściągnęli go z ambony. A ty łotrze, ty niecnoto, ty nam wstydu takiego narobiłeś. Nuż tedy paskami i kańczugiem garbować szewcowi skórę, — tak go zbili, że ledwie już dychał szewc nawiedzony, a poznawszy, że to Bóg zesłał karę za jego pijaństwo, modlił się znowu gorąco i przyrzekł, że żadnego trunku do ust nie weźmie. Rzeczywiście poprawił się, a gdy mocno razu pewnego zasnął, Bernardyni do domu odnieść go kazali.

Z dzieła *ks. Sadoka Barącza.*

Drobne żarty.

Bankier (do syna): Przeszły raz przyniosłeś dobre świadectwo ze szkoły, a dziś takie złe. Widzę, żeś spadł na ostatniego?...

Syn: Tate, a czy twoje papiery też nie spadną?...

Chory (ciężko). Nie wie czasem pan konsyliarz, na co ja jestem właściwie chory?...

Lekarz. Trudno mi, panie, teraz wiedzieć!

Chory. A kiedy będzie konsyliarz dokładnie wiedział?

Lekarz. Po... sekcyi

— Podwyższam panu pensyę o całe 10 marek na kszenżyc.

— Chyba na miesiąc?

— Ny, miesząc czy kszenżyc to przecie wsistko równo.

W restauracyi.

— Cóż to u was kotleciki takie małe?

— To nic, za to może pan dobrodziej zjeść ze trzy porcye...

Podsłuchane erotyki.

Oświadczyny matematyka:

W mego serca kąt prosty
Padł twych oczu promień!
I trójkąt ten ogarnął
Nieznany mi płomień!... .
Dwa ramiona są dane
Ty oblicz kąt serduszka,
Podaj rozwiązanie!...
Ja nie jestem w stanie,

Oświadczyny filologa:

Kocham czas teraźniejszy
Lecz to forma mierna,
Pytanie jak wypadnie
Dla mnie strona bierna...
Jeśli „jestem kochany“,
To wnet z singularis
Mogę wraz z tobą pani
Przejść w jedno dualis!

Oświadczyny karambolisty:

Bila mojego serca
O bant twojej duszy
Odbija się i wnet dublą
W karambola ruszy.
Powiedz pani, czy zechcesz
Fałsz oddać w ten sposób,
Byśmy po partji byli
Najszczęśliwsi z osób?!

Dział powieściowy.

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIESC WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

59) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Ja stałem ukryty za filarem i słyszałem całą ich rozmowę.

— Nie biorę panu za złe, — rzekła Edyta, — że pragniesz się żenić z siostrą lorda Corrigan. Rodzina nasza spokrewniona z dworem królewskim, jest jedną z najstarszych i najznakomitszych w całej Anglii — ale pominąwszy już różnicę naszego pochodzenia — nie mogę zostać żoną pana, bo pana nie kocham!

— Tyle małżeństw zawiera się właśnie w kołach pani bez miłości, — zawołał Blakborn, — czemu więc pani chcesz stanowić wyjątek?

— Mam pod tym względem inne przekonanie!

— A gdybym pomimo to żądał ręki pani?

Edyta wstała, spojrzała z pogardą na niego i rzekła dumnie:

— Jesteś bezczelnym, mój panie doktorze Blakborn!

Blakborn zerwał się jak szalony i wyciągnął złożony papier z kieszeni.

— Poznajesz pani podpis twego brata? — krzyknął. Jeżeli dziś nie zostaniesz moją narzeczoną, to jutro wszystkie dzienniki rozgłoszą, za ile lord Corrigan chciał sprzedać — swoją siostrę!

Ale teraz stało się coś nadzwyczajnego!

Szybko, jak błyskawica, wyciągnęła Edyta rękę, schwyciła dokument i wrzuciła go w ogień na kominku. Odbyło to się prędzej, niż opowiedzieć można.

— Ogień czyści wszystko, — rzekła z uśmiechem, — nawet brudne papiery!

Blakborn stał jak skamieniały, i gdyby wówczas był miał broń przy sobie, to byłby zamordował Edytę!

— Zapłacisz mi — to — syknął, — wiedz zresztą, że ten papier był tylko kopią — oryginał mam dobrze schowany! I pomimo wszystkiego będziesz moją!

Edyta nie słyszała już tych słów, bo zaraz się odwróciła od niego, Blakborn wyszedł też zaraz, i odtąd nie pokazywał się już więcej w moim domu. Unikał mnie w towarzystwach i w klubie, z czego się bardzo cieszyłem, bo poznałem teraz jego podły charakter i obawiałem się jedynie tego, aby nie szukał zemsty na Edycie.

Ale minęły trzy lata, a on się nie zgłaszał. Zaczynałem swobodniej oddychać, będąc przekonanym, że o nas zapomniał. O, jakże się omyliłem!

Taki człowiek jak on, nie zapomina o zemście — czeka tylko stósownej chwili, aby tem silniej uderzyć!

Owego wieczora — ostatniego w życiu Edyty, wypiłem z nią herbatę, ale przysięgam panu, że nie nalałem do niej żadnego narkotyku. Co do owego letargicznego uśpienia, to muszę jeszcze raz wrócić do pobytu jej w Rzymie. Pokochała pana gorąco, i wiedząc, że nie może zostać żoną skromnego doktora, postanowiła nie wychodzić wcale za mąż. Ale miłość dla pana i żal za utraconem szczęściem podkopywało jej zdrowie — i nerwy jej były w tym właśnie czasie tak osłabione, że lękałem się niezmiernie o jej życie.



— Panie Blakborn, rzekła Edyta, nie mogę zostać żoną pana, bo pana nie kocham.

Z powodu bezsenności używała jakiegoś proszku, którego nazwy nie znam wcale, i tego wieczora musiała go za wiele użyć! Inaczej byłaby słyszała, że ktoś wszedł do jej pokoju.....

— Tak jest, — przerwałem, — ale kto zasłonił twarz jej welonem?

— Ona sama, nie chcąc, aby ją rano budziły promienie słońca. Garderobiana jej zeznała tak wobec sędziego śledczego i nie mam przyczyny wątpienia o tem! Po rozłączeniu się z Edytą poszedłem do klubu, bawiłem tam dosyć długo i wracałem pieszo do domu. Nagle, koło pomnika Zgody, ujrzałem jakąś ciemną postać, biegnącą ku mnie, a wiedząc, jak niebezpiecznym jest Londyn o tej porze, podniosłem laskę.....

— Daj pokój, — odezwał się głos, dobrze mi znany, — wiesz, że ja jestem mocniejszy!

Był to Blakborn.

— Czego chcesz odemnie? — krzyknąłem rozgniewany.

— Chcę ci oddać dokument, w którym mi przyrzekłeś rękę twej siostry. Nie potrzebuję go już więcej.

Wziąłem zżółkły papier i poznałem, że to był rzeczywiście ten, który ja sam napisałem.

— Nareszcie, — rzekłem, — namyśliłeś się inaczej. Chcesz mi może sprzedać mój podpis? Wymień sumę!

— Nie! Otrzymałem już zapłatę! Pokwitowanie napisałem krwią — twej siostry! — szepnął. — Edyta nie żyje!

— Co, Edyta nie żyje? kłamiesz, nędzniku, — zawołałem przerażony.

— Idź i przekonaj się! Siostra twoja leży martwa — pewien szaleniec służył mi za narzędzie zemsty. Ja moich rąk nie zbroczyłem krwią, inny to dla mnie uczynił! Teraz nie żądam niczego od ciebie! Nie zobaczysz mnie już nigdy, lordzie Corrigan! Ale dokument mój wolę jednak zabrać z sobą.

Wydarł mi papier z ręki, i zanim oprzytomniałem — zniknął. Z daleka tylko słyszałem jego głośny, okropny śmiech.....

— Nię — pomyślałem, — to być nie może, tak piekielnie nie może nikt postępować. Blakborn chciał mnie tylko zastraszyć — najlepszy dowód, że zabrał mi znowu ów dokument! I poszedłem do domu. Ale zaledwie usnąłem, zbudził mnie służący z oznajmieniem, że policyanci chcą się ze mną widzieć. Wiedziałem teraz, że Blakborn mówił prawdę, i byłem tak przerażony, tak mi ręce drżały, że się ledwie ubrać mogłem. Potem pobiegłem natychmiast do domu siostry, ale nie ulicą, tylko ogrodem, łączącym obydwa nasze pałace.

Nagle ujrzałem na ścieżce coś błyszczącego — był to sztylet pana! Tym sposobem poznałem nazwisko nieszczęśliwego, którego ten szatan użył do zamordowania mej siostry i zwolna odgadłem cały przebieg zbrodni.

Sztylet schowałem — i postanowiłem wobec policyi zamilczeć nazwisko prawdziwego mordercy. Nazwij pan mnie tchórzem, ale wszakże nędznik ten miał zawsze jeszcze ów dokument w rękach.

I tak została nieszczęśliwa Edyta pochowaną, a morderca jej jest wolnym, i nikt pewnie, oprócz pana, nie dowie się, kto ją zabił, i że stała się ofiarą mojej bezprzykładnej lekkomyślności!

Lord umilkł teraz, a ja uważałem, że niezmiernie był wzruszony.

— A teraz co do pana, — dodał, kładąc mi rękę na ramieniu — wiedząc, że pan byłeś niewinnem narzędziem Blakborna, że on zniszczył całe twoje szczęście, obserwowałem cię pilnie, i wiem, że obecnie w bardzo przykrem znajdujesz się położeniu.

Ja jestem bogaty i mam moralny obowiązek udzielenia ci pomocy. Weź ten pugilares, znajdziesz w nim dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów, możesz z procentów żyć wygodnie! Jedynym moim warunkiem jest, abyś pozostał w Londynie, bo może będziesz mi jeszcze potrzebny....

Przez chwilę walczyłem z sobą. Potrzebowałem tylko rękę wyciągnąć, a miałem znaczny majątek i przyszłość zapewnioną, ale jak mogłem brać pieniądze od człowieka, który zawinił śmierć najdroższej mi w świecie istoty?

— Zatrzymaj pan swoje pieniądze, — rzekłem, — co się stało, tego nic już zmienić nie zdoła, a ja nie chcę zapłaty za milczenie. To by mnie jeszcze więcej upokorzyło!

— Jesteś pan nierozsądnym, — zawołał lord, — weź pan to, co ci daję!

Nie zważałem jednak na niego, i pożegnawszy go krótko, wróciłem do domu.

Zwolna powiększyła się znowu moja praktyka znacznie i zacząłem teraz składać co rok większą sumę.

Po upływie trzech lat wezwano mnie po raz drugi na Wielki most. Wiedziałem naturalnie, że to nikt inny, jak lord Corrigan i zgadłem.

— Panie doktorze, — rzekł, biorąc mnie pod rękę, — tym razem żądam wielkiej przysługi od ciebie. Żona moja spodziewa się urodzenia dziecka — mianuję cię więc moim lekarzem domowym, przyjmujesz to miejsce?

Nie mogłem odmówić z dwóch powodów, najpierw jako lekarz, a powtóre jako człowiek — wszakże lord posiadał zawsze jeszcze mój sztylet i mógł mnie zgubić.

Lady Corrigan nadzwyczaj była miłą, dobrą i zacną kobietą. Powziąłem dla niej wielki szacunek i ona także okazywała mi dużo sympatyi.

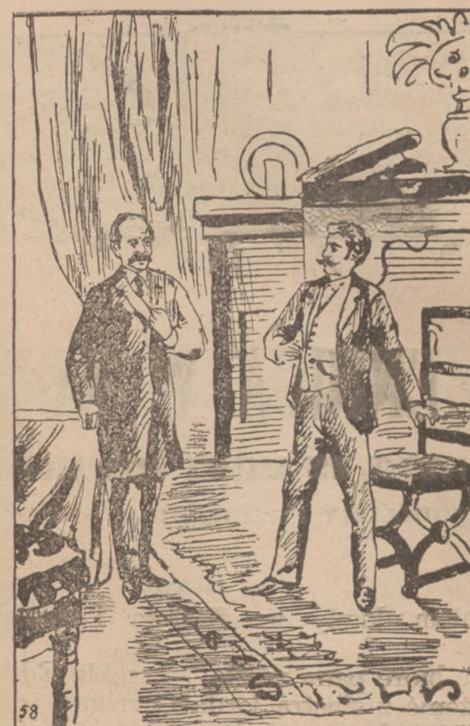
Pewnego wieczora, powiła córeczkę, ale była tak słaba, że obawiałem się niezmiernie o jej życie. Dziecko wyniesiono natychmiast do innego pokoju, a ja czuwałem nad śpiącą, rozważając jedynie nad tem, w jaki sposób ratować jej życie i podnieść siły.

Nagle otworzył lord cicho drzwi i skinął na mnie.

Wyszedłem z nim do salonu i teraz dopiero dowiedziałem się, czemu się mną tak opiekował, i poznałem cały jego brzydki charakter. Urodzenie córki niezmiernie go zmartwiło, cały bowiem prawie majątek Corriganów przechodził po jego śmierci na boczną linię. A tego on właśnie nie chciał! I z tego powodu postanowił zamienić córkę na syna, co się tem łatwiej dało uskutecznić, że tej samej nocy powiła Nadina, jego kochanka, syna.

Starałem się wszelkiemi sposobami odwieść go od tego zamiaru, dowodząc, że chce popełnić ciężką zbrodnią i że ja nie pozwolę na to! Ale zamiast odpowiedzi, pokazał mi lord sztylet i zmusił mnie do wypełnienia jego życzenia. Tej samej nocy zamieniono dzieci!

Córka lorda Corrigan, dziedziczka całego majątku matki i jednej trzeciej majątku ojca znikła, a miejsce jej zastąpił syn lorda i Nadiny, francuzkiej nauczycielki. Życie lady Corrigan zdołałem uratować, ale jak przykro mi było, gdy patrzałem, z jaką miłością pieściła obce sobie dziecko!



Wszedłem z lordem do salonu i teraz dopiero poznałem cały jego brzydki charakter.

A ja milczałem! I wiele lat upłynęło od tego czasu, droga Józefino, — kończył Tritoni, — i nie myślałem, że zobaczę jeszcze kiedyś ową dziewczynkę, wyrzuconą z pałacu lorda. — — Ale Bóg nie chciał, abym tajemnicę moją zabierał z sobą do grobu.....

Józefina zerwała się blada, z gorączkowo błyszczącemi oczami.

— Znalazłeś pan tę wypchniętą, wydziedziczoną córkę? — zawołała bez tchu nieomal.

— Tak, i nie spocznę dopóty, dopóki ona nie odzyska należnych jej praw!

— A gdzie — gdzie — ona — jest?

— Stoi przedemną! Ty, Józefino, jesteś córką lorda Corrigan!

Z głośnym płaczem rzuciła się Józefina w objęcia doktora, który jak prawdziwy ojciec zajął się opuszczoną.

ROZDZIAŁ LXXXVII.

Pod fałszywem nazwiskiem.

Lord i lady Corrigan znajdowali się już od czterech tygodni w Paryżu, a że życie w hotelu nie odpowiadało ich nawyknieniom i wymaganiom, przeto kupił lord ładną małą willę na Polach Elizejskich wraz z całkowitem urządzeniem i dosyć obszernym ogrodem.

Ryszard odmówił życzeniu rodziców mieszkania u nich.

Na usilne prośby matki przychodził codziennie na chwilę, ojca jednak unikał starannie, nie mogąc mu wybaczyć ubliżenia Fanchonie.

Że lord Corrigan kazał ją zamordować, o tem Ryszard nie wiedział, ale wiedział to, że nigdy by się z nią nie był mógł ożenić, ponieważ była jego siostrą. Całej prawdv nie wyjawił mu Tritoni, wspomniał tylko o tem, że Fanchon była córką kobiety, którą niegdyś ojciec jego kochał.

Lady Wiktorya czuła się teraz bardzo samotną. Mąż jej wyjeżdżał nieustannie, Ryszard, mający dobrą posadę, przychodził rzadko, i tak była zawsze samą. Chcąc się nieco rozerwać, postanowiła przyjąć towarzyszkę i poprosiła Ryszarda o umieszczenie odpowiedniego anonsu w gazetach.

Na drugi dzień zaraz umieścił „Figaro" następujące ogłoszenie:

„Poszukuje się młodej dziewczyny na towarzyszkę

starszej lady. Warunki: wyższe wykształcenie, dobre maniery i łagodny charakter. Damy, reflektujące na to miejsce mogą się osobiście udać do lady Wiktoryi Corrigan, Pola Elizejskie, willa nr. 30.“

Doktor Tritoni przeczytał ten anons i zamyślił się głęboko.

— Tak będzie najlepiej, — mówił sobie w duszy. — Ciężko mi będzie rozstać się z Józefiną, ale tak być musi! Może jej piękność i dobroć wzruszą serce ojca, może on uzna teraz, jak niesłusznie sobie względem rodzonej postąpił córki! Niech Józefina przyjmie to miejsce, niech pozyska zwolna miłość matki, Lady Corrigan zniesie wtedy łatwiej wyjawienie prawdy!

W tejże chwili weszła Józefina do pokoju.

— Słuchaj, drogie dziecko, — rzekł Tritoni poważnie, — nadeszła godzina, w której się rozstać musimy!

— Jakto, ja mam pana opuścić? — zawołała Józefina.

— Tak, i udać się do domu twoich rodziców. Nie mam prawa zatrzymywania cię — i wkrótce, mam nadzieję, będę ci mógł dopomódz do odzyskania twego nazwiska i twoich praw. Matka twoja jest samą i potrzebuje ciebie!

— A więc idę do niej!

— To nie jest tak łatwo, jak myślisz! Nie możemy bez przygotowania powiadać matce twojej, jak ją oszukano, trzeba się bardzo ostrożnie zabrać do dzieła. Matka twoja nie zna cię, nie wie, kto jesteś, i kocha z całego serca tego, którego dotychczas uważała za syna. Musisz więc zdobyć najpierw miłość twej matki!

— Ale jakim sposobem?

— Nadarza się właśnie wyborna do tego sposobność, — rzekł Tritoni pokazując jej anons. — Lady Corrigan znajduje się obecnie w Paryżu! Czytaj to ogłoszenie!

— Moja matka w Paryżu! O Boże! Dwie istoty, tak ściśle do siebie należące, a jednak tak od siebie oddalone!

— Będziesz wnet przy niej, droga Józefino. — Przyjmiesz to miejsce, a reszta już do mnie należy! Ale nie możesz tam iść pod twojem nazwiskiem — musimy wyszukać inne — ah! mam już! Czekaj, ja zaraz wrócę....

Tritoni żywo wybiegł z pokoju i wrócił niedługo z paczką papierów.

— Usiądź i słuchaj, — zaczął, rozkładając papiery. — Wiesz, że w Monte Carlo posiadam domek, w którym mieszkałem kilka lat! W ostatnich jednak czasach byłem głównym lekarzem w wielkim szpitalu w Nizzy, i poświęcałem się tam głównie zaraźliwym chorobom.

Pewnego dnia zaprowadzono mnie do młodej, cudownie pięknej kobiety, niebezpiecznie chorej na tyfus plamisty. Na pytania moje, jak się nazywa, zkąd jest, gdzie mieszkała, żadnej nie otrzymałem odpowiedzi, to jedno tylko powiedziała nam, że imie jej Diana. Pochodziła ona bezwątpienia z wyższego stanu, bo w majaczeniach gorączkowych mówiła dużo o książętach, hrabinach i innych wysoko stojących osobach, a głównie wzywała jakiegoś Karola, pewnie męża lub narzeczonego. Najczęściej wołała rozpaczliwie:

— Ja jestem prostą robotnicą w fabryce, Karolu, wierzaj mi, że mówię prawdę!

Potem znowu zrywała się, chcąc ratować jakąś cesarzową z pod śniegu i lodów i ledwie można ją było utrzymać w łóżku. Biedna dużo cierpiała.

Na drugi dzień, gdy odzyskała przytomność, prosiła mnie o chwilę rozmowy bez świadków.

— Wszakże ja umrę? — zapytała krótko.

— Ale gdzież tam! Będziesz żyć, moje dziecko, — odrzekłem.

— Nie łudź pan mnie! Czuję, że moje chybione życie kończy się. i dobrze tak!

— No, w takim razie wyznam ci, że jesteś bardzo chorą, i że następnej nocy oczekuję przesilenia.

— Którego nie przeżyję.

Potem sięgnęła pod poduszkę i wyjęła torebkę z temi oto papierami.

— Wypełnij pan ostatnią prośbę umierającej, — rzekła cicho. — Poślij te papiery dziś jeszcze pod adresem, który ci podam, i dołącz kilka słów — że ta, która ci papiery te dała, już nie żyje!

Adres, który sobie na życzenie jej zapisałem, brzmiał: Baron Karol Frascati — Wiedeń.

Potem podziękowała mi serdecznie i w krótce popadła napowrót w gorączkowe majaczenia.

Zaraz nazajutrz odesłałem wszystkie papiery baronowi Frascati i udałem się znowu do szpitala. Ale niemiła czekała mnie tu niespodzianka. W nocy, gdy dozórczyni, zmęczona czuwaniem, zdrzemnęła się na chwilę, wyskoczyła Diana oknem i znikła bez śladu. Pokój, w którym leżała, znajdował się na parterze, nie mogła się więc zabić, a zniknienie jej tłómaczę sobie tem, że się utopiła w morzu.

Dwa tygodnie później otrzymałem ku memu wielkiemu zdumieniu mój list i papiery Diany z powrotem z Wiednia, z nadmienieniem poczty, że baron Frascati udał się w podróż naokoło świata, i że wyraźnie zakazał posyłania za nim listów.

Tym sposobem wróciły dokumenta te znowu w moje ręce i teraz możesz ty je użyć. Możesz iść pod nazwiskiem nieżyjącej już Diany de Bassano do domu twych rodziców.....

— Ale nie będzie to niebezpiecznem dla mnie, iść tam pod obcem nazwiskiem? — przerwała Józefina. — Czy nie zarzucą mi tego, że się tam zakradłam pod fałszywą.......

— Nie, — przerwał Tritoni żywo, — tobie wolno każdą walczyć bronią. Postąpiono z tobą tak bezwzględnie, że i ty możesz się posłużyć podstępem! Nie wahaj się — weź te papiery i zbliż się do twej matki jako Diana de Bassano! Jestem pewien, że już dla samego nazwiska otrzymasz to miejsce! Pomimo to dam ci list polecający — gdy lady Corrigan przeczyta moje nazwisko, przyjmie cię bez pytania!

Józefina wzięła papiery, ubrała się w skromną, ciemną suknią i poszła do willi na Pola Elizejskie!

ROZDZIAŁ LXXXVIII.

Obca w domu rodziców.

Około jedenastej przed południem stanęła Józefina w willi.

Lady Wiktorya przyjęła dziś już cały zastęp zgłaszających się o miejsce jej towarzyszki, ale żadna nie odpowiadała jej wymaganiom. I teraz zameldowano jej jeszcze jednę!

— Ach, tego już za wiele, — niechętnie, — ale cóż robić! Muszę ją przyjąć!

Po chwili wprowadził służący Józefinę do salonu, i matka i córka stanęły naprzeciwko siebie!

Pierwszą myślą Józefiny było rzucić się na kolana przed tą wytworną, piękną panią, ale zaraz potem zapanowała nad swojem wzruszeniem.

Jak słodki wyraz „matka“ dla tej, która go dotąd nigdy jeszcze nie zaznała! Ach, raz tylko zawołać go głośno, objąć tę głowę ukochaną, spojrzeć w oczy, i ucałować ręce i powiedzieć:

— Patrz matko, to ja, twoja córka, którą ci porwano, i którą pozbawiono twej miłości! Kochaj mnie teraz za to i pozwól wypocząć na twem sercu, o matko moja droga!

Józefina tak była rozczulona, że stała blada, milcząca, i ze łzami w oczach patrzała nieustannie na lady Wiktoryą. Chciała coś przemówić, ale nie mogła.

— Co pani jest? — zapytała lady Corrigan z współczuciem. — Płaczesz — drżysz cała — powiedz mi szczerze, co ci jest?

— Nic, nic, — szepnęła Józefina, zbierając całą siłę woli.

— Jak się pani nazywasz?

— Diana de Bassano!

— Bassano! Znam to nazwisko — ród książęcy — w Rosyi, nieprawdaż?

— Tak jest, milady, pochodzę z tej rodziny i mogę się wykazać papierami, że tak jest w istocie.

— Tem więcej żal mi pani, że będąc księżniczką, musisz sobie zarabiać na życie. Jakim sposobem znalazłaś się w tak przykrem położeniu?

— Rodzina nasza podupadła — po śmierci ojca, nie zostało dla nas nic, krewnych o pomoc prosić nie chciałam...

— Biedne dziecko! I nie miałaś przyjaciół?

— O tak, jednego, najlepszego, najszlachetniejszego przyjaciela, doktora Tritoni!

— Doktora Tritoni! — powtórzyła lady zdumiona. — Jest to także jeden z moich najlepszych przyjaciół, a nawet mogę powiedzieć, jedyny prawdziwy! Był on naszym lekarzem domowym ,i po Bogu — jemu jedynie zawdzięczam życie. Ale potem, wyjechaliśmy na długi czas z Londynu..... Masz pani list od niego?

— Tak, — rzekła Józefina, podając jej list doktora.

Lady Wiktorya wzięła kopertę.

— Pójdę go przeczytać do mego pokoju, — rzekła, — i wrócę zaraz. Proszę zaczekać na mnie!

Lady Wiktorya tymczasem poszła do swej sypialni i czytając list doktora, głośnym wybuchnęła płaczem. Wszakże córka jej mogłaby dziś być w tym samym wieku, jak owa Diana de Bassano, mogła być równie piękna, dobrze wychowana — ale podług wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy jej ona nie ujrzy, bo wszelkie zabiegi i starania żadnego dotąd nie odniosły skutku. I dopóki nie odnajdzie córki, musi uważać Ryszarda za swego syna!

Uspokoiwszy się nieco, wróciła do salonu.

— Witam cię, moje dziecko, w moim domu, — rzekła serdecznie. — Zostaniesz u mnie, i mam nadzieję, że się nigdy już nie rozłączymy. Nie znam cię wprawdzie jeszcze, ale polecenie Tritoniego wystarcza mi zupełnie. Będziesz moją towarzyszką i — przyjaciółką!

Po tych słowach podała Józefinie rękę, którą młoda kobieta gorąco ucałowała.

— O, milady, dziękuję ci, — szepnęła, zalewając się łzami. — Dziękuję ci za tyle dobroci i łaski — odwdzięczę ci się za to najwierniejszem przywiązaniem. Całe moje życie poświęcę tobie!

Takiem było pierwsze spotkanie się matki z córką!

* * *

Tego samego dnia po obiedzie przeniosła się Józefina do willi Corrigan.

Lorda Williama nie widziała jeszcze dotychczas i drżała na myśl ujrzenia tego, który tak okrutnie z nią się obszedł, a który powinien ją był kochać miłością najwyższą, miłością ojca!

Pokój jej, na pierwszem piętrze, miał okna na park wychodzące i był urządzony skromnie, ale gustownie. Józefina czuła się tu od razu w domu, u siebie.

Największą przyjemnością, jaką jej lady Corrigan zgotować mogła, było to, że nad kanapą kazała zawiesić swój portret. Józefina nie posiadała się z radości na widok twarzy — swej matki, i wpatrywała się z zachwytem w te piękne, szlachetne rysy. Potem uklękła i podniosła ręce, jak do przysięgi.

— Będę cię kochała, matko moja, — zawołała, — aż do ostatniej chwili mego życia! Przysięgam ci, że znalazłaś we mnie wdzięczną i wierną córkę, która by w razie potrzeby życie oddała za ciebie!

ROZDZIAŁ LXXXIX.

Dawna znajoma.

Już od czterech tygodni znajdowała się Józefina w domu swoich rodziców, którzy nie przeczuwali wcale, kogo mają u siebie. W przeciągu tego czasu ścieśniły się węzły przyjaźni pomiędzy lady Corrigan a Józefiną tak, że chociażby lady była wiedziała, że Józefina jest jej córką, to serdeczniej nie byłaby jej mogła pokochać!

Odżyła ona formalnie od tego dnia, w którym Józefina weszła do jej domu.

Pierwsze spotkanie ojca i córki odbyło się zupełnie tak, jak tego wymagały przepisy dobrego towarzystwa. Lady Corrigan przedstawiła mężowi Józefinę, mówiąc tylko:

— To jest moja towarzyszka, Diana de Bassano!

Józefina spojrzała na lorda i doznała uczucia niewypowiedzianego strachu.

Zimno przebiegło jej członki na widok tego wyniosłego i sztywnego Anglika — zdawało jej się, że to pająk, roztaczający w około swe siatki, w które każdy wpaść musi.

Ale lord był dla niej bardzo uprzejmy, i okazywał jej nawet pewną przychylność. Z tem wszystkiem czuła Józefina, że było to tylko u niego rodzajem maski, i że właściwej jego twarzy dotąd jeszcze nie widziała!

Zresztą przebywał on mało w willi, tłumacząc swoją nieobecność podróżami i ważnemi sprawami, z rozmów jednak służby dowiedziała się Józefina w krótce, że wszystko to było kłamstwem. Lord Corrigan bawił się wesoło w mieście i ani myślał o podróżach. Nazywano go ogólnie „lordem Czek,“ ponieważ na każde, chociaż najmniejsze nawet sumy, wystawiał czeki na domy bankowe. Gotówki nigdy nie miał przy sobie.

Ryszard przychodził teraz bardzo rzadko do matki. Szef posłał go do Glasgowa w celu budowania tamże fabryki, a gdy wrócił, miał tyle zajęcia, że nawet na odwiedzanie matki nie stało mu czasu. Widział raz tylko Józefinę i dziękował jej serdecznie za okazywane matce przywiązanie.

Jedyne, co Józefinie zatruwało obecne jej szczęście było to, że znajdowała się tu pod obcem nazwiskiem. Nie mogła się przyzwyczaić do imienia Diana, i nie raz już chciała wyznać prawdę lady Corrigan.

Ale potem przypominała sobie rady doktora i milczała.

Tritoni wyjechał z Paryża.

Napisał Józefinie, że ważne powody zmuszają go do odbycia czterotygodniowej mniej więcej podróży, i przyrzekł, że skoro wróci, zajmie się jej sprawą i powie, kim jest. Ale do tego czasu zaleca jej jak najgłębsze milczenie.

* * *

Maksymilian i Stanisław opuścili również Paryż, Stanisław miał wuja w Południowej Francyi, i ten zaprosił obydwóch przyjaciół do swego zamku. Pobyt ich nie był długi w stolicy, tak, że Stanisław nie widział nawet swej ukochanej Nelly. Nie czytając listy przybyłych gości do Grand Hotelu — nie miał pojęcia, że na pierwszem piętrze mieszkała cesarzowa Elżbieta. Maksymilian nie mogąc też dla braku czasu odwiedzić jeszcze raz lady Corrigan, pożegnał ją biletem, który jej posłał przez służącego hotelowego.

Lady Corrigan nie jeszcze nie wspominała Józefinie o spotkaniu Maksymiliana — byłaby musiała zdradzić tajemnicę zamienienia dzieci, a do tego nie miała żadnego prawa.

I tak upływał jeden dzień po drugim, aż zaszedł wypadek, zagrażający Józefinie na nowo zmarnowaniem jej szczęścia.

Pewnego dnia uczuła się lady Corrigan nieco słabą i oświadczyła Józefinie przy śniadaniu, że dziś nie wyjedzie.

— Jest mi to bardzo przykro, — rzekła — tem więcej, że mieliśmy jechać do owej biednej wdowy, która tak nagle zaniewidziała, a której jedyną podporą jest młodziutka córka, sprzedająca kwiaty na bulwarach.

— Tak, bardzo to smutne — odpowiedziała Józefina. — Czytałam w gazecie, że córka ta ma być cudownie piękną!

— Nie wymieniono jej nazwiska?

— Owszem — dziewczynie imię Mignon, nazywa się zaś Fourier. Od czasu zaniewidzenia matki nie może roznosić kwiatów i dla tego nic nie zarabia........ Matkę chcą przenieść do zakładu niewidomych, ale córka nie chce na to pozwolić!

— Jak można rozłączać matkę z córką! — zawołała lady Wiktorja. — Biedna kobieta nie ma nic więcej na świecie, jak tę córkę — i ma ją opuścić!

— Ale w zakładzie znalazłaby troskliwą opiekę......

— Ah, opiekę! Czy to wynagrodzi rozłączenie się z jedną, ukochaną córką? Chciałabym chętnie wesprzeć tę biedną, a że nie mogę dziś wyjechać, przeto jedź ty, moje dziecko, do wdowy Fourier i zawieź jej trochę pieniędzy!

— Bardzo chętnie!

Lady Wiktorja wyjęła z kieszeni kilka sztuk złota i podała je Józefinie.

— Masz tu sto franków — rzekła — i powiedz biednej niewidomej, że co miesiąc dostanie tyle. Zapisz zaraz jej nazwisko w naszą książkę!

Józefina zabrała się natychmiast do wykonania rozkazu swej pani.

Półgodziny później, ubrana wytwornie w stroje, darowane jej przez lady Wiktorją, schodziła na dół, gdzie już czekała na nią wspaniała kareta. Józefina zajęła miejsce na jedwabnych poduszkach i konie ruszyły.

Stangret, poprzednio już dokładnie poinformowany, skręcił wnet w uboższą część miasta, i stanął w końcu przed wielkim, ponurym domem, w którym mnóstwo biednych mieszkało rodzin.

Wdowa Fourier mieszkała tu także.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał René Bazin.

5) Tłomaczyła *J. P.*

(Ciąg dalszy.)

— Widziałeś! — zawołała — to nie do zniesienia!

Jan pociągnął kilka razy dym z cygara, zasłaniając rękami płomień zapałki, potem odrzucił ją.

— Zapewne, moje dziecko — odezwał się — ale trzeba umieć znosić...

— Tu niema dziecka — odpowiedziała gwałtownie — jest osoba dorosła, która musi rozmówić się z tobą szczerze. Mój drogi, my znamy się tak mało, a trzeba, żebyśmy się poznali. Ja ci w tem pomogę, zobaczysz.

Spojrzeniem zachwytu objął Jan tę istotę piękną, która z tak śmiałą stanowczością do niego przemawiała; potem spokojnie, czując, że przypada mu, jako mężczyźnie, rola sędziego, który zimnej krwi tracić nie powinien, szedł koło siostry aleją, ciągnącą się wzdłuż trawnika, obramowaną z drugiej strony klombami krzewów.

— Mów, Lucynko, możesz być pewną...

— Twojej dyskrecyi? Dziękuję ci, nie o to mi teraz chodzi. Chcę ci poprostu wyłożyć moje zapatrywania w pewnej kwestyi i wcale z niemi kryć się nie będę. Mówię ci, że to są rzeczy nie do zniesienia. O Niemcach i ich kraju tutaj można mówić tylko źle. Ledwie wypowiesz słowo pochwały, choćby najsprawiedliwszego uznania, mama zacina usta, dziadek upokarza mnie wobec służby, jak to miało miejsce dzisiaj. Czyż to zbrodnia powiedzieć komuś: „przywieź nam kilku oficerów do Alsheimu,“ przecież nie możesz uwolnić się od służby wojskowej w pułku niemieckim, w mieście niemieckiem, pod rozkazami oficerów, którzy chociaż są Niemcami, należą do najlepszego towarzystwa.

Szła krokiem nerwowym, kręcąc w prawej ręce łańcuszek złoty, spływający po jej staniku.

— Gdybyś ty wiedział, Janku, ile ja już wycierpiałam przez ten brak swobody w domu, bo, nasi rodzice mają zupełnie inne pojęcia, niż te, które dało nam wychowanie. I ostatecznie pocóż je nam dali?

Jan wyjął z ust cygaro.

— Lucynko, tylko wola ojca kierowała naszem wychowaniem.

— Bo on jeden jest inteligentny.

— Ach, jak możesz tak sądzić naszą matkę!

— Wysłuchaj mnie. Nie należę do tych, którzy połowę swych myśli ukrywają, a połowę tak ukwiecą, że jej poznać nie można. Mamę bardzo kocham, bardzo, więcej niż przypuszczać możesz, ale i sądzę ją także. Mama jest doskonałą gospodynią, jest domyślną, ma pewien smak literacki, ale niema pojęcia o kwestyach ogólniejszej natury. Po za Alsheimem nic nie widzi. Mój ojciec daleko lepiej zrozumiał nasze położenie w Alzacyi, a to dzięki swoim rozległym stosunkom i interesom handlowym, dzięki swej ambicyi wreszcie...

— O jakiej ambicyi myślisz? — spytał Jan, przystając.

Mówiła dalej:

— Dziwię cię, że jak na „dziecko“, jak się wyraziłeś jestem za śmiała, może nawet zuchwałą?

— Trochę.

— Mój drogi, ja tylko sąd twój wyprzedzam, abyś nie tracił czasu na studya psychologiczno-porównawcze. Ty wczoraj przyjechałeś, ja tu jestem półtrzecia roku, pozwalam ci skorzystać z mego doświadczenia. Tak, ojciec ma wiele ambicyi — to wątpliwości nie ulega. Miał wszelkie dane, by zyskać powodzenie, żelazną wolę wobec niższych, wiele giętkości z innymi; majątek, bystrość umysłu, która stawia go wyżej, niż wszystkich naszych przemysłowców, lub niemieckich urzędników. Przepowiadam ci, że teraz, skoro ma łaski namiestnika, będzie posłem...

— To niemożliwe, Lucynko!

— Być może, ale tak będzie. Nie wybiorą ojca w Obernai zapewne, ale wybiorą go gdzieindziej, wybiorą, bo rząd go poprze i on sam potrafi wyzyskać okoliczności... Z pewnością nie wziąłeś tego faktu w rachubę, kiedy postanowiłeś stanowczo osiedlić się w Alsheimie. Zaniepokoiłam się. Będziesz miał tu jeszcze wiele niespodzianek. Przedewszystkiem wiedz o tem, mój drogi braciszku, wyraz „drogi“ wymówiła z naciskiem — że u nas wcale nie jest zabawnie. Jesteśmy nieodwołalnie rozdzieleni.

Milczeli przez chwilę, bo doszli właśnie do domku odźwiernego, potem skręcili w aleję, wiodącą w głąb parku.

— Nieodwołalnie! Tak sądzisz?

— Tylko dziecko wątpiłby o tem mogło. Ojciec nie zmieni się, nie zostanie Francuzem, bo to zwichnęłoby jego przyszłość i utrudniło handel; mama nie zmieni się, bo jest kobietą, dla niej zostać Niemką, znaczyłoby wyrzec się uczuć bardzo szlachetnych w jej pojęciu; dziadka też nie przerobisz. Więc?...

Zatrzymała się, stojąc wprost Jana.

— Więc, mój drogi, skoro nie możesz przywrócić pokoju łagodnością, trzeba go przywrócić siłą. Tu nie może być mowy o neutralności. Najlepsze twoje chęci nie oprą się okolicznościom, jestem tego pewną. Połącz się z nami, z ojcem i ze mną, choćbyś miał nawet odrębne trochę przekonania. Mama, widząc, że dzieci nie przyznają jej słuszności, z mniejszym zapałem strzedz będzie swych dziecinnych wspomnień; nakłoń też dziadka do mniej wyraźnych manifestacyj, a nasze zebrania w jadalni stracą może charakter zapasów na ziemi udeptanej. My będziemy górą! Niczego więcej się spodziewać nie możemy. Czego zechcesz?.... Ojciec mówił mi dzisiaj, że dla Niemców słabą masz sympatyę. Ale przecież znieść ich możesz?

— Mogę.

— Ja też proszę tylko o tolerancyę i o względy dla nich, a raczej dla nas, którzy ich przyjmujemy. Dziesięć lat spędziłeś w Niemczech, tutaj żyć możesz tak, jak tam żyłeś; nie wyjdziesz przecie ze salonu, jeśli który z nich przyjdzie nas odwiedzić.

— Naturalnie. Ale, posłuchaj mnie. Jeśli nawet różnię się trochę w poglądach z moją matką, jeśli moje wychowanie pozwala mi znosić to, co dla niej jest wstrętne, ganić jej nigdy nie będę. Wzruszają mnie powody jej postępowania.

— Wzruszają?

— Tak.

— A dla mnie są nierozsądne.

Zielone oczy Jana i jaśniejsze Lucynki badały się przez chwilę. Młodzi ludzie, poważni oboje, mierzyli się wzrokiem pełnym zdziwienia i wyzwania: „Czyż to ta sama dziewczyna dopiero co taka słodka i wesoła?“ „On mi się opiera, ten brat wychowany w jednych zasadach ze mną, który powinien mi ustąpić, choćby dlatego, że jestem młoda i że oczy jego mym widokiem raduję.“ Była niezadowolona.

W tem pierwszem spotkaniu zetknęły się: gwałtowność ojca odziedziczona przez córkę i niezłomna wola matki przelana w syna.

Lucynka pierwsza przerwała milczenie. Szła dalej potrząsając głową.

— Rozumiem, przypuszczasz, że znajdziesz w mamie powiernicę, przyjaciółkę, której serce otworzyć możesz. Ogromny mam dla mamy szacunek. Ale ty się mylisz, Janku. Ja też próbowałam. Mama widzi własne nieszczęścia w przesadzonych rozmiarach. Cokolwiek jej powiesz, wszystko będzie argumentem w jej własnej sprawie. Gdybyś, naprzykład, ożenił się z Niemką....

— Nie! ach, nigdy!

— Ale przypuśćmy.... wtedy mama poszłaby natychmiast do ojca i powiedziała mu: „Widzisz, jaki stał się skandal! To twoja wina! Twoja!“ A jeśli zechcesz się ożenić z Alzatką, mama pysznić się tem będzie, wołając: „Przy mnie stanął, przeciwko wam! przeciwko wam!“ Nie, mój drogi, jedyną powiernicą w Alsheimie jest Lucyna Oberlé.

Ujęła rękę Jana i wzniosła ku niemu twarz, pełną życia i młodości.

— Wierzaj mi, bądźmy z sobą szczerzy. Ty mnie nie znasz i zdumiewam cię. Dojrzysz we mnie wielkie wady: jestem indywidualistką, prawie nie zdolną do poświęceń,

jestem kokietką czasami, ale nie ma we mnie fałszu. Czekając na ciebie, oczekiwałam jednocześnie wielkiej, trwałej radości, że twoją młodość mieć będę przy sobie, że ją zrozumiem. Zwierzę ci się z tego wszystkiego, co jest w mojem życiu głębią i powagą, powiem co czynić zamierzam... Nikomu tutaj całkowicie zwierzyć się nie mogę. Nie masz pojęcia, jak nad tem cierpiałam. Czy zechcesz?

— O tak!

Ty mi powiesz, co myślisz, ale przedewszystkiem, ja się wypowiem. Nie będę się tu dusiła w tym domu. Wiele rzeczy mam do powiedzenia... Postaram się odzyskać w ten sposób czas stracony, zdobyć sobie trochę braterskości, choć spóźnionej.

— O czem myślisz?

— O tym naszym biednym domu.

Lucynka wzniosła oczy ponad jego szczyty. Chciała w ten sposób wyrazić: „O tym naszym smutnym istotnie domu!“ Potem uściskała brata i dodała na odchodnem:

— Nie jestem znów taka zła, braciszku, ani taka względem mamy niewdzięczna. Pójdę teraz do niej, by pomówić o twoim powrocie. Pewno ma ochotę podzielić się z kim swojem szczęściem.

Lucynka obejrzała się jeszcze, by rzucić bratu uśmiech i właściwym sobie krokiem bogini, poprawiając włosy wiatrem i przechadzką rozrzucone, weszła na ganek i zniknęła w głębi domu.

ROZDZIAŁ IV.

Opiekunki domowego ogniska.

Jan po odejściu siostry obszedł dom, minął półkole podwórza folwarcznego, potem ogród warzywny, otoczony murem, przeszedł przez boczną furtkę na prawo i odrazu znalazł się w polu, po za wioską. Pierwsza radość z powrotu już zbladła i zwiędła. W uszach brzmiały mu jeszcze urywki zdań do głębi duszy zapadłych, a wraz z niemi ruchy, głos, obraz istoty, która je wypowiedziała. Myślał o „smutnym domu“ i cierpiał, porównywając rzeczywistość z marzeniem o dniu powrotu do domu, o przyjęciu, które nań oczekiwało w Alsheimie; z jakiemże wzruszeniem, religijnem prawie, mówił sobie w duchu, zwiedzając dalekie krańce Europy: „mój pierwszy dzień w Alsheimie, gdy ojciec powie „tak!“ Mój ojciec! matka, siostra!“ Pierwszy dzień nadszedł, nie ziścił jednak dotąd widziadeł marzenia.

I pogoda była smutna. Przed Janem, u stóp Wogezów, pokrytych lasami, leżała naga płaszczyzna alzacka, tu i owdzie przecinały ją drzewa. Wiatr północny dął od morza i napełniał doliny smutnym jękiem, pędził po niebie ciemne chmury, nabrzmiałe deszczem i gradem, które spaść miały na południu przy stoku Alp.

Zimno było.

Jednakże Jan, dostrzegając na lewo kępę drzew kończącą aleję, w którą wpatrywał się już dziś rano, poczuł znów, że jego młodość tam go ciągnęła. Obejrzał się, czy nikt go z okien domu nie śledzi i puścił się ścieżką prowadzącą dokoła wioski.

Była to nieznaczna ścieżyna, wydeptana wzdłuż ścian stodół, chlewów, kurników, szop i śpichlerzy zagród Alsheimu przez ludzi, którzy tędy szli do roboty lub z niej wracali; zagrody te, frontem zwrócone ku traktowi, często oddzielały się od niego białym murem, z po za którego wyglądały gałęzie rozłożystej morwy.

Młodzieniec szybko kroczył po ubitej ziemi. Minął kościół, który na środku wioski wznosił w niebo swą kwadratową wieżę, zakończoną dachem w kształcie dzwonu i metalową iglicą; wreszcie doszedł do kępy złożonej z czterech olbrzymich drzew orzechowych. Stanowiły one jakby znak, ozdobę i ochronę ostatniego domu Alsheimu. Tu zaczynała się posiadłość pana Ksawerego Bastiana, mera wioski, dawniej przyjaciela pana Oberle, do tego zamożnego, wpływowego, znanego patryoty Jan dzisiaj pospieszał, Z sąsiedniego podwórza dobiegał odgłos cepów.

Pracowali tu pewno rośli synowie Ramspachera, dzierżawcy Bastiana; jeden z nich niedawno z wojska niemieckiego wrócił, drugi miał doń wstąpić w listopadzie. Młócili zboże cepami, po dawnemu. Przez całą jesień, przez całą zimę, gdy u młynarza mały już był zapas zboża, a pogoda nie dopisywała, na klepisku u Bastianów leżały snopy, a cepy biły potężnie, pędziły niby stado galopujących źrebiaków. Nic tu postaci nie zmieniło.

— To stare gniazdo ten mój Alsheim! — szepnął Jan.

Chociaż unikał spotkania, zajrzał przecież na podwórze; ludzi nie zobaczył, bo duży wóz ich zakrywał przed jego oczami. Sam jednak mógł uśmiechem przyjacielskim powitać znane kąty, budynki drewniane ze szparami założonemi ziemią, które wykazały trwałość kasztanowego drzewa, użytego na bale, belki, balkony i futryny okien. Nikt nie zauważył obecności Jana. Szedł dalej a serce biło mu gwałtownie. Bo tuż za folwarkiem Ramspacherów ciągnęła się aleja drzew wiśniowych, prowadząca do mieszkania pana Bastiana. Z powodu niepogody mer był zapewne w domu. Za kilka minut Jan miał go powitać, zobaczyć Otylię i dowiedzieć się, w jakikolwiek sposób, czy nie jest jeszcze zaręczoną.

Otylia! Całe dzieciństwo Jana rozbrzmiewało tem imieniem. Córka Bastiana bawiła się codziennie z Lucynką i z Janem wtedy, kiedy zwrot opinii pana Józefa Oberle nie był jeszcze wyraźny; później Otylia stała się słodką wizyą lat w gimnazyum spędzonych, rozwijającą się dziewczyną, którą widywał podczas wakacyi w kościele; wtedy, w obecności pana i pani Oberle, składał jej tylko ukłon, lecz podczas spacerów w lesie, wśród winnic, młodzi przy spotkaniu mieli zawsze dla siebie dobre słowo i uśmiech przyjazny. Jakiś urok posiadała ta dziewczyna po wiejsku wychowana (dwa, czy trzy lata zaledwie przebyła w Strasburgu, w klasztorze Notre-Dame); o wiele poważniejsza i cichsza od Lucynki, nie była wcale światową. Posiadała zapewne urok wiejący z jej rodzinnego kraju. Wraz z Alzacyą Jan i ją stracił z oczu, ale obiedwie zostały mu w pamięci. Podczas ostatniego krótkiego pobytu w Alsheimie nie widział jej wcale, bo chciał wypróbować siebie, chciał się przekonać, czy istotnie pamięć o niej przetrwa lata rozłąki. I myślał: „jeśli przez ten czas wyjdzie zamąż, będę miał dowód, że nigdy o mnie nie myślała; nie będę miał po kim płakać!“

Zamąż nie wyszła, ale może się z kim zaręczyła? W każdym razie ujrzy ją teraz. Wolał okrążyć aleję wiśniową; nie chciał, aby ktokolwiek mógł zobaczyć syna fabrykanta, idącego do mera. Poszedł więc wzdłuż cierniowego płotu, rosnącego ržwnolegle do alei: stąpał po czerwonawej ziemi lub po wązkim pasie trawy, przez pługi wzdłuż rowu oszczędzonym. Za nim rozlegał się odgłos cepów coraz cichszy wskutek oddalenia i wichru.

— Co powiem panu Bastianowi? — myślał Jan. — Jak on mnie przyjmie? Ba! dopiero co przyjechałem, o tylu rzeczach mogę nie wiedzieć.

O jakie dwieście metrów od folwarku aleja ginęła wśród grupy drzew, które zdaleka można było zauważyć. Pod ochroną wspaniałych, nagich dziś dębów, platanów i jaworów rosły zielone jodły, tuje i laury. Jan szedł dalej brzegiem lucerników, wzdłuż płotu, aż do furtki od starości zmurszałej; tu przeszedł rów po dużym kamieniu, stanowiącym rodzaj pierwotnego mostu. Gęstwina laurów zasłaniała widok na przestrzeni kilku metrów. Kroki Jana spłoszyły kosa, który odleciał gwiżdżąc. Jan przypomniał sobie, że chcąc wejść do ogrodu, trzeba tylko odsunąć haczyk w furtce. Wszedł więc, trochę zaniepokojony swoją śmiałością; od stóp do głów musnęły go gałęzie krzewów, kiedy wsunął się w wązką, mało uczęszczaną uliczkę; obszedł kilka klombów otoczonych bukszpanem i doszedł do domu mieszkalnego. Rosły tam stuletnie platany, otaczające półkolem trawnik, a gałęziami górujące nad nizkim domem, z dwoma balkonami i dachem nizko spadającym. Śpichlerz, piwnice, stodoły, pasieka ciągnęły się za domem, dając obraz dostatku i prostoty właściwych starej, mieszczańskiej Alzacyi.

Jan zatrzymał się chwilę, przykuty czarem tych miejsc, dawno mu znanych, spoglądał w okno bluszczem owinięte; już miał iść dalej, gdy w progu domu stanął człowiek wysoki i z odruchem zdziwienia poznał swego gościa. Był to Ksawery Bastian. Miał już lat sześćdziesiąt, ale nikt z rówieśników jego nie dorównał mu krzepkością i werwą. Barczysty z głową prawie kwadratową, pokrytą włosem białym, ułożonym w gęste niezmiernie pukle, golił wąsy i brodę, nos miał gruby, oczy szare i bystre, usta ku środkowi ściągnięte, a w całej twarzy tę dumę uprzejmą człowieka, który nigdy nie stchórzył. Nosił długie surduty według zwyczaju bogatszych Alzatczyków, mieszkających po wsiach, nawet takich, jak Alsheim, gdzie nie było śladu specyalnych ubiorów choćby w odległej przeszłości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)